

Robert M.
Wegner

Jeszcze może załopotać

opowiadanie ze świata Meekhanu



powergraph

Robert M. Wegner

Jeszcze może załopotać



powergraph

Warszawa 2019

Copyright © 2019 by Robert M. Wegner
Copyright © 2019 by Powergraph
Copyright © 2019 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik, Imperium Meekhańskie
Korekta: Luiza Maćkowiak
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Rafał Kosik

Konwersję wykonano w systemie Zecer

Jeszcze może załopotać

Nadszedł mroczny czas, gdy prawie cała północna część Imperium znalazła się w rękach wroga, a Meekhan stanął na krawędzi upadku. Lecz wtedy Kregan-ber-Arlens postanowił sprowokować Ojca Wojny i ogłosił, że nie porzuci stolicy i będzie jej osobiście bronił, a takiego wyzwania wódz koczowników nie mógł zignorować. Zdobycie Miasta Miast i zabicie cesarza, który nie miał potomka, rzuciłoby mu Imperium Meekhańskie do stóp. I tak wiosną, piątego roku wielkiej wojny, armia meekhańska i koczownicze hordy, szykowały się do decydującego starcia, a stolica drżała o swój los.

Fragment wstępu do *Historii Bitwy o Meekhan*
Aelos-kas-Maner, historyk cesarski

— Meekhan to ślimak, który wyrósł ze skorupy. Opuścił bezpieczne granice starych dzielnic i zaczął wypełzać na okoliczne wzgórza już ponad dwieście lat temu. W tej chwili dziewięć dziesiątych stolicy jest dla koczowników tym, czym otwarty krowi bebecz dla sępa. A jeśli nie masz sposobu, by cofnąć czas i uprzedzić jednego z poprzednich cesarzy, że dobrze byłoby otoczyć całe miasto murami, to lepiej zamilcz. Decyzji nie cofnę, ucieczki nie będzie, zatrzymamy ich tutaj albo wcale.

Głos cesarza był spokojny, beznamiętny, niektórzy mogliby nawet pomyśleć, że obojętny i znudzony. Lecz jego postawa, ręce wsparte na blacie zawalonego mapami i planami stołu, pochylona głowa, widoczny wysiłek, z jakim Kregan-ber-Arlens unosił od czasu do czasu do ust puchar z naparem pachnącym gorzkimi ziołami, mówiła raczej o bezgranicznym zmęczeniu niż obojętności i nudzie. Wszyscy w komnacie wiedzieli, że młody władca od kilku dni prawie nie spał, objeżdżając stolicę, sprawdzając umocnienia, zagrzewając wojska i ludność do walki, przyjmując raporty od

podjazdów, wizytując pułki piechoty i chorągwie kawalerii. Ale wszyscy wiedzieli też, że to zmęczenie i napięcie, jest zmęczeniem i napięciem spustu kuszy zbyt długo trzymającego ciężewę. Lepiej nie sprawdzać, czy nastąpi przypadkowy wystrzał.

Mężczyzna, do którego skierowane były ostatnie słowa imperatora, również to wiedział. Ale nie zamierzał zrobić tego, co podpowiadał mu rozsądek, czyli zamilknąć, bo świeże – zyskane ledwo wczoraj wieczorem – poczucie własnej ważności napełniało mu głowę zwodniczym szumem, a serce nieznaną wcześniej odwagą.

— Nie chciałem, i nie chcę, namawiać cię, panie, do ucieczki. — Pochylił szpakowatą głowę w geście szacunku. — Jeśli oddamy północ Imperium, równie dobrze moglibyśmy nigdy nie przekraczać Gór Krzemiennych. Ale droga... — zawahał się, szukając odpowiednich słów — manewru... ewakuacji... szybkie konie rozstawione co dziesięć mil na szlaku przez góry, pozwoliłaby, w przypadku gdy Wielka Matka nam nie poszczęści... pozwoliłaby nam mieć nadzieję... zyskać pewność... że Wasza Wysokość będzie mógł...

Dłonie imperatora zacisnęły się w pięści, a Szpakowaty zamilkł, czując wreszcie, że jeszcze słowo lub dwa, a jego życie i kariera polityczna skończą się, a ostatnią rzeczą, jaką usłyszy, będzie świst topora tnącego powietrze. Cóż z tego, że należał do jednego z najstarszych rodów w Imperium i nosił tytuł książęcy, skoro jego rodowe posiadłości składały się z małego miasteczka i kilkunastu ubogich wiosek. A bez pieniędzy, w Meekhanie –

Mieście Miast, nawet najszlachetniejsze nazwisko nie robiło na nikim wrażenia. Od wielu lat zajmował w Radzie Pierwszych daleką pod względem ważności i wpływów pozycję, związaną głównie z dziedziczonym przez jego ród tytułem Strażnika Chorągwi. Gryziony przez ambicję, a jednocześnie powstrzymywany przez wrodzone lenistwo i brak pewności siebie, czekał na okazję, by wspiąć się wyżej. Wielka Czystka, która od miesięcy orała imperialne elity, zdawała się taką właśnie okazją. Teraz, gdy Kregan-ber-Arlens tak wzmocnił swoją pozycję, że Rada trzęsała się przed każdym jego grymasem, droga w górę wydawała się nareszcie stać otworem.

Wystarczyło tylko zdobyć zaufanie młodego władcy. Wykazać się przed nim lojalnością i wiernością.

— Subrenie-kul-Marresie — cesarz pierwszy raz zwrócił się do niego pełnym imieniem i nazwiskiem, i choć nie podniósł ani głowy, ani głosu, to Szpakowaty skulił się, zmałał, jakby nagle uszło z niego powietrze — jesteś głupcem.

Reszta zgromadzonych w komnacie: kilku oficerów, szefowie wywiadów, nowy arcyhierarcha Wielkiej Matki wymieniło spojrzenia i uśmiechy. Przez ostatnie lata działania Rady, czyli zrzeszenia najstarszych i najbardziej wpływowych rodów Imperium, balansowały na granicy zdrady, więc wpuszczenie jej przedstawiciela na ostatnie spotkanie dowódców tuż przed zbliżającą się bitwą było dla większości z nich obelgą. Gdy wschodni barbarzyńcy uderzyli na Meekhan, przez pierwsze dwa lata Rada zachowywała się, jakby nie chodziło o nic więcej niż zwykle przygraniczne potyczki. Cesarz miał władzę wielką, lecz nie absolutną, decyzje takie jak przerzucenie wojsk z zachodnich i południowych garnizonów, opodatkowanie świątyń, a nawet powszechny pobór wśród chłopów, wymagały podpisu jego oraz trzech najważniejszych członków Rady. Dla niektórych kwestia kto rządzi w domu, okazała się ważniejsza niż to, że dom płonie i jest plądrowany przez bandytów. Trzeba było utraty niemal wszystkich północnych prowincji, a także wielu miesięcy zabiegów, szantażu, ordynarnego zastraszania, a nawet, jak głosiły plotki, skrytobójczych mordów, by ci głupcy zrozumieli, co naprawdę jest ważne. Mimo to nadal niektórzy próbowali rzucać kolce przed kopyta cesarskiego wierzchowca.

— Pozwól, że wyjaśnię ci dlaczego — młody władca wyprostował się i spojrzał wreszcie na arystokratę. — W ciągu ostatnich pięciu dni odwiedzili cię Omles-kop-Gewraser, Innew-tyr-Tyrren, Hener Starszy, Laferyn-kiz-Olkat i kilku innych członków Rady. Dyskutowali z tobą, gawędzili, śmiali się i żartowali jak najlepsi przyjaciele, mimo iż przez poprzednie lata traktowali cię niewiele lepiej niż mijanego na korytarzu lokaja.

Kul-Marres poczerwieniał. Słowa cesarza otworzyły w jego sercu najstarszą i najgłębiej skrywaną ranę. Gdyby rozmawiali w cztery oczy zniósłby je lepiej, ale tu, między ludźmi, z których większość była parweniuszami, kaprysami Wielkiej Matki obdarzonymi talentami

wojskowymi lub szpiegowskimi, bolały niczym razy wymierzone bykowcem namoczonym w solance.

Kregan-ber-Arlens nie zamierzał jednak kończyć.

— I w czasie tych przyjacielskich pogaduszek przedstawiono ci znakomity i świadczący o dalekowzroczności oraz – nie ukrywajmy tego – głębokiej miłości do Imperium i mojej osoby, plan. Otóż przyjaciele ci zorganizowali, bez mojej wiedzy i zgody, trasę ucieczki dla mnie, na wypadek gdyby bitwa nie przebiegła po naszej myśli. I potrzebowali kogoś, kto przestawi mi tę wspaniałą opcję, kogoś mądrego, rozsądnego i szanowanego. Kogoś, kto okaże się opoką Meekhanu i przemówi młodemu głupcowi do rozumu.

Subren-kul-Marres, ksiązę Wschodniej Satrii, mimowolnie spojrział w lewo, gdzie Arkansel Getrower, Pierwszy Szczur Nory, cham i prostak, nie tylko bez tytułu szlacheckiego, ale nawet niebędący rodowitym Meekhańczykiem, kręcił właśnie kielichem, obserwując taniec rubinowego wina na szkle z taką miną, jakby zgłębiał tajniki Wszechrzeczy.

Skurwysyn – przeszło arystokracji przez myśl, że być może ktoś taki jak Getrower, naprawdę jest synem kurwy – wie wszystko. I wszystko przekazał cesarzowi, łącznie z tym nieszczęsnym „młodym głupcem”, który wymknął się po pijanemu Laferynowi.

— Nie upłynęło pół roku, jak ogłosiłem, że nie opuszczę Miasta Miast. Ledwo miesiąc temu potwierdziłem to w Wielkiej Świątyni, pod Drzewem Matki, stojąc przed jej Błogosławiącymi Dłońmi. A w Świątyni i na placu oraz na ulicach wokół niej zgromadziło się ponad pół miliona mieszkańców stolicy, którzy wiwatowali i przysięgali, że wraz ze mną będą go bronić lub umrą, próbując.

Cesarz wsparł się znów na blacie stołu, a jego palce zabębniły na rozłożonych arkuszach map.

— Przez ostatnie kilka miesięcy połowa mieszkańców opuściła miasto. Ci, którzy pozostali, są tutaj, bo uwierzyli, że możemy zatrzymać Yawenyra i zgnieść jego horde. A uwierzyli, bo cesarz przysięgł, że zostanie w stolicy i będzie walczył aż do zwycięstwa. A teraz wyobraź sobie, że w miasto uderzy plotka, iż ten sam cesarz przygotował sobie drogę ucieczki, że jest gotów, gdy tylko coś pójdzie nie tak, podkulić ogon i czmychnąć za góry.

Wyobraź sobie wielką jak rzeka falę uchodźców wylewających się przez wszystkie bramy i zapychających na długie dni górskie drogi prowadzące na południe. Wyobraź sobie złamane morale wojska, upadek wiary w zwycięstwo, defetyzm i rozpacz.

Mimo iż znajdowali się w największej komnacie pałacu, Subren-kul-Marres poczuł nagle, że brakuje mu tchu.

— Jesteśmy gotowi na zwycięstwo, mamy najlepszą armię i najlepszych dowódców, jakich widział świat. — Kilku oficerów słysząc te słowa, pokiwało głowami. — Taką wiedzę wpajamy wszystkim od miesiący. Ale jak do tej pory te wschodnie dzikusy wygrywają z nami prawie każde starcie, więc na razie nasza wiara w zwycięstwo jest twarda, lecz krucha. Gdy już pokonamy Se-kohlandczyków w walnej bitwie, wiara zamieni się w pewność, a nie ma nic potężniejszego od meekhańskiej pewności siebie. Na niej w końcu zbudowaliśmy całe to cholerne Imperium. A ty przychodzisz do mnie z nowiną, która może tę naszą kruchą wiarę w zwycięstwo strzaskać jak kryształowy kielich. Bo jeśli cesarz nie wierzy w wygraną, to któż ma w nią wierzyć?

Kregan-ber-Arlens wyprostował się, odrywając ręce od stołu, a Strażnik Chorągwi nagle poczuł, jakby znalazł się u stóp olbrzyma. Jakby musiał, chcąc spojrzeć cesarzowi w oczy, zadzierać głowę aż do bólu w karku.

— I dlatego nazwałem cię głupcem. Pozwoliłeś się wykorzystać ludziom, którzy otwarcie gardzili tobą przez ostatnie lata. Wziąłeś udział w intrydze, mającej na celu osłabienie mojej pozycji, bo nawet kiedy wygramy bitwę, wieść, że szykowałem sobie ucieczkę, będzie wiadrem gówna wylanym mi na głowę. — Na ustach imperatora zagościł... nie, nie uśmiech, tego skrzywienia warg nikt nie nazwałby uśmiechem. — Lecz chyba pamiętasz, co Rada zrobiła zaraz po mojej przysiędze w świątyni?

Arystokrata przełknął ślinę. W tej chwili niczego tak nie pragnął, jak znaleźć się we własnej posiadłości, zamknąć na cztery spusty i zniknąć dla ludzi. Może mógłby nawet napisać anonimowy paszkwil na cesarza, który kazałby za jakiś czas rozpowszechnić na ulicach.

— Zapomniałeś? — Kregan-ber-Arlens uniósł lekko brwi.

— Nie, panie. Przysięgaliśmy... Tak jak ty, złożyliśmy przysięgę, że zostaniemy i będziemy walczyć do końca — tak jak ty.

— Do zwycięstwa, chciałeś powiedzieć.

— Tak, panie. Do zwycięstwa.

— Arkansel. — Imperator nawet nie spojrzał na Pierwszego Szczura, a ten od razu zaczął raportować, jakby tylko czekał na rozkaz.

— Zaraz po przysiędze złożonej przez członków Rady moi szpiecy odkryli spisek kilku jej członków. Książę Omles-kop-Gewraser, książę tyr-Tyrren, hrabiowie Hener Starszy, Laferyn-kiz-Olkat oraz Piacer-ilo-Klertann przygotowali sobie drogę ucieczki z miasta, rozstawiając na Wielkiej Drodze Solnej w dziesięciomilowych odstępach konie i ludzi. Nora ujęła wczoraj i przesłuchiwała większość książęcych sług. Wszyscy zeznali, że przygotowania te służyły haniebnemu planowi porzucenia przez wymienionych wcześniej arystokratów stolicy w czasie największej potrzeby i ucieczki za Góry Krzemienne.

Naczelnik Nory stał sztywno wyprostowany, patrząc na cesarza i nie tyle mówił, ile recytował, obojętnym, pozbawionym intonacji tonem. Jakby był urzędnikiem sądowym odczytującym nudne prawnicze formułki.

— Akt taki może, a nawet musi, być uznany za najbardziej obmierźłe krzywoprzysięstwo w historii Meekhanu. Dziś rano, dwie godziny przed rozpoczęciem tej narady, bojowe drużyny Nory dokonały aresztowania wymienionych wcześniej zdrajców. Zostali oni osadzeni w lochach do czasu procesu, który odbędzie się zaraz po bitwie. W tej właśnie chwili na ulicach rozwieszane są plakaty, a heroldzi obwieszczają szczegóły zbrodni tych ludzi.

Dwie godziny temu... Dwie godziny temu Subren kończył przygotowania do spotkania z cesarzem, śniąc na jawie o zdobyciu wdzięczności, a może i zaufania młodego władcy.

Pierwszy Szczur posłał mu obojętne, zimne spojrzenie.

— Rola księcia Subrena-kul-Marresa w tym spisku nie jest jasna. Nie udało nam się zebrać dowodów na to, by był w niego bezpośrednio zaangażowany, choć zdrajcy bez wątplenia użyli jego rezydencji na miejsce swoich knozań. Nora sugeruje, by obniżyć zaufanie, jakim Wasza Wysokość darzy księcia kul-Marresa.

— Słyszałeś — głos cesarza dobiegał jakby z daleka, jakby zza ściany obitej grubą warstwą wełny. — Obniżyć zaufanie. Brzmi jak opróżnić sito

z wody. Moje zaufanie do Rady znajduje się na tej wysokości, na której wąż nosi swój brzuch. Popatrz na mnie!

Strażnik Chorągwi z wysiłkiem oderwał wzrok od naczelnika Wywiadu Wewnętrznego i przeniósł na cesarza. Sylwetka władcy rozmywała mu się, a jego głos zdawał się pulsować.

— Nosisz tytuł Strażnika Chorągwi, prawda?

Subren-kul-Marres otworzył usta, jednak wyduszenie z siebie odpowiedzi było najtrudniejszą rzeczą, jaką spotkała go w całym życiu.

— Tak, Wasza Wysokość.

— Twój ród opiekuje się Wielką Chorągwią Meekhanu od ilu lat?

— Od stu trzydziestu ośmiu, Wasza Wysokość.

Wielka Chorągiew. Jeden z najważniejszych, ale też najrzadziej używanych symboli Imperium. Wywieszano ją raz w roku na Święto Błogosławieństw Matki, a także z okazji śmierci lub wstąpienia na tron nowego cesarza. Nic w tym nic dziwnego, bo chorągiew miała imponujące rozmiary, ponad dwadzieścia cztery stopy szerokości i czternaście wysokości, więc przez większość czasu przechowywano ją, starannie zwiniętą, w rezydencji Strażnika Chorągwi.

— I wystarczy. Głupotę mogę wybaczyć, jednak nie będę jej tolerował. A nie mogę pozwolić, by jednym z najświętszych symboli Meekhanu opiekował się głupiec. Mam dla Chorągwi lepszą rolę. Zaraz po bitwie zawiśnie przed moim pałacem, by w jej cieniu łeb Yawenyra nie zgnił zbyt szybko.

Kilku oficerów zamruczało zgodnie, jakby stado wielkich drapieżnych kotów ujrzało właśnie nadchodzący obiad. Subren-kul-Marres ledwo usłyszał ten głos, jego uszy wypełniał świst topora przecinającego powietrze.

— Tytuł Strażnika Chorągwi został nadany twojemu rodowi przez jednego cesarza, więc może zostać cofnięty przez innego. A uwzględniając to, że jesteś zaangażowany w spisek związany z krzywoprzysięstwem i zdradą, w obliczu nadciągającego wroga nie widzę innego wyjścia. Wrócisz teraz do siebie i przygotujesz wszystko do oddania. Chorągiew, komplet pieczęci Strażnika Chorągwi, szarfę i jego miecz. Wiem, że te rzeczy są w różnych miejscach. Więc dam ci czas, byś je zebrał, ale za trzy dni, w południe przekażesz wszystko ludziom, których wyśle do ciebie Pierwszy Szczur i od

tego momentu nie wolno już będzie się posługiwać – ani tobie, ani żadnemu z twoich potomków lub krewnych, ani w mowie, ani na piśmie – tytułem Strażnika Chorągwi.

Każde słowo cesarza było niczym rozpalony do białości hufnal wbijany w kości Subrena-kul-Marresa. W głowie mu szumiało, wzrok się mglił, serce waliło, jakby chciało rozerwać klatkę żeber i wyskoczyć z piersi. To przecież... Przecież nie tak miało być... on tylko... tylko...

Kregan-ber-Arlens kontynuował:

— Twoja służba ma pięć dni, by usunąć z monogramów szlacheckich symbol Strażnika. Tytuł ten, wraz ze wszystkim przywilejami, zostanie przekazany godniejszemu rodowi zaraz po bitwie. Zrozumiałeś?

— Wasza Wy...

— Zrozumiałeś!?

Oczy Subrena-kul-Marresa zasnuła szara mgła i wszystko znikło. Na kilka uderzeń serca stracił wzrok.

Gdy go odzyskał, niespodziewanie odkrył, że widzi wszystko ostro i wyraźnie, jak chyba nigdy w życiu. Cesarza, oficerów, szpiegów i kapłana. I wszyscy patrzyli na niego z ironiczną pogardą.

— Tak, panie.

— Dobrze. Wrócisz do siebie i wykonasz wszystkie rozkazy. Arkansel Getrower wyznaczy ludzi, którzy będą ci towarzyszyć do rezydencji. I pamiętaj, książę, że wciąż jesteś zamieszany w zdradziecki spisek, więc twój ród może upaść jeszcze niżej. Możesz wyjść.

Cesarz oparł się rękoma o stół i wskazał na jedną z map. Zupełnie jakby w mgnieniu oka zapomniał o arystokracie.

— Panowie. Podjazdy Se-kohlandczyków są dziesięć mil od stolicy. Główna armia będzie tu jutro. Dziewięćdziesiąt, może sto tysięcy konnych. I chcę, żeby większość z nich, a najlepiej wszyscy, już tu u nas została. Kilka stóp pod ziemią. Laskolnyk przysłał właśnie wieść, że jest gotów zmiażdżyć Yawenyra, by użyźnić ziemię dla kwiatu kwitnącego na krzemiennej koronie. Odkrył w sobie poetę, skurczybyk.

* * *

Subren-kul-Marres nie pamiętał drogi do domu. Nie pamiętał twarzy

towarzyszących mu zbirów z Nory, których obecność była równie subtelna, co ostrze noża nacinające skórę na gardle. Zdumiewające, ale nadal widział wszystko wyraźnie i ostro jak nigdy wcześniej. W tym tę najgorszą i najbardziej oczywistą prawdę: tylko to, że ród kul-Marres dziedziczył przywilej opieki nad Wielką Chorągwią, gwarantowało mu miejsce w Radzie Pierwszych. Nie mieli wielkiego majątku, pieniędzy, wpływów ani, bądźmy szczerzy, przyjaciół. Jedyne pieniądze, jakie przez ostatnie lata zasilały ich skarbiec, były związane z zasiadaniem w Radzie, bo nawet jeśli nie zajmowali w niej ważnego miejsca, zawsze znaleźli się tacy, którzy szukali protekcji u któregoś z jej członków. Za odpowiednią gratyfikacją, rzecz jasna. Gdy jego ród utraci tytuł Strażnika Chorągwi, utraci też miejsce w Radzie, a wraz z nim dochody pozwalające utrzymać skromną, lecz kosztowną rezydencję w stolicy. Zresztą – prawda ta uderzyła go jak obuchem – okazał się jedynym podejrzanym o krzywoprzysięstwo, który nie skończył w lochu Szczurów. Dla pozostałych członków Rady będzie od dziś w najlepszym razie tchórzem i zdrajcą, a w najgorszym agentem Nory.

A tego nie wybaczą mu nigdy.

W rezydencji panował chaos i zamieszanie po tym, jak Szczury przeszukały ją z góry na dół. Oczywiście niepotrzebnie, bo wszystko to, od początku do końca, było intrygą w innej intrydze. Kilku ważnych członków Rady postanowiło podważyć pozycję cesarza, który przez ostatni rok skupił w swych rękach zdecydowanie zbyt wiele władzy. Wieść o tym, że mimo przysięgi Kregan-ber-Arlens szykował się do ucieczki, odwróciłaby od niego umysły i serca wielu mieszkańców Imperium i to nawet wtedy, gdyby osobiście ściał se-kohlandzkiego Ojca Wojny. Spiskowcy nie docenili jednak Szczurów, a te zwąchawszy podstęp, obróciły go przeciw nim. Pojmani słudzy zeznali, że drogę ucieczki szykowali sobie najbardziej wpływowi członkowie Rady. O Pani, gdyby śledczy Szczurów się postarali, dostaliby relację o tym, że księżę Omles-kop-Gewraser co noc lata na kiju na sabaty Pomiotników. Oczywiście zeznania te poparte były silnymi dowodami, ktoś w końcu wynajął konie, rozstawił je na szlaku prowadzącym przez góry, i tak dalej. Świadców przygotowań do tej akcji było aż nadto, reszta to tylko kwestia interpretacji i wymuszonych zeznań, a siedzący w lochach arystokraci z pewnością mieli, i to dosłownie, zbyt związane ręce by

przeciwstawić się potędze i Nory, i cesarza.

Subren-kul-Marres usiadł przy biurku w swoim gabinecie, wyciągnął dokument ukryty w kieszeni bufiastego rękawa i rozłożył go. Jakimż okazał się głupcem. Poproszony go, by zaniósł Kreganowi-ber-Arlens wieść o przygotowanej drodze ucieczki oraz podsunął mu do podpisu glejt, zapewniający specjalne uprawnienia dla sług rozstawionych już na szlaku. Rzekomo by nikt nie próbował czynić im wstrętów. Teraz widział wyraźnie, że glejt ten, zaopatrzony w cesarski podpis i pieczęć, byłby niezbitym dowodem na przygotowania cesarza do ucieczki. Polityczne znaczenie takiego dowodu tchórzostwa miałoby siłę rażenia oddziału imperialnych bitewnych magów, i to niezależnie od wyniku bitwy.

Bezmyślnie popatrzył na wypełnioną schludnym pismem kartę, po czym rzucił ją na papiery zalegające podłogę. Jego gabinet przeszukano, choć Szczury pracowały niedbale, pospiesznie i tylko po to, by służba mogła ponieść w miasto wieść, że Strażnik Chorągwi był w taki czy inny sposób zamieszany w spisek. To było... takie tanie i lekceważące.

Czy naprawdę nic nie znaczył? Ani dla Rady, dla której byłem pionkiem, posłańcem, przynętą dla młodego cesarza, mającą sprowokować go do głupiego błędu, ani dla Szczurów i imperatora, dla których był... no właśnie. Tym samym.

Od stu trzydziestu ośmiu lat żaden kul-Merres nie okrył się taką hańbą – przejechał palcem po zdobiącym jego szlachecki monogram symbolu chorągwi, który przez sto trzydzieści osiem lat każdy z jego przodków z dumą nosił w każdej sytuacji. Gdy chorągiew z łopotem zwisała z dachu Świątyni Wielkiej Matki albo, gdy wywieszano ją przed cesarskim pałacem, stali przy niej z ceremonialnym mieczem w dłoni, przepasani szarfą i od kilku pokoleń dla książąt Wschodniej Satrii był to jeden, jedyny i najprawdziwszy moment chwały.

Awener, jego jedyny syn, jak wielu innych młodych szlachciców dał się ponieść fali patriotycznego entuzjazmu, którą zarażał cesarz, i służył teraz w armii. Jak on, rodzony ojciec ma stanąć przed nim i powiedzieć, że okrył hańbą nazwisko i młody książę nie tylko nie odziedziczy godności Strażnika Chorągwi, ale nawet miejsca w Radzie Pierwszych? Jak ma mu powiedzieć, że muszą wrócić do Wschodniej Satrii, do zameczku mniejszego niż ich

rezydencja w stolicy i do końca życia wyklócać się z dzierżawcami o czynsz? O Pani! Ślub! Jak ma mu przekazać, że planowany ślub Awenera z córką hrabiego ose-Emrelacha najpewniej właśnie jest odwoływany. Hrabia należał do nowej arystokracji, jego ród nosił tytuł krócej niż sto lat, lecz posiadał ziemie położone na południowym wschodzie Imperium, tuż przy Małych Stepach. Ziemie te były dziesięć razy rozleglejsze niż posiadłości Subrena-kul-Marresa, a na dodatek, ponieważ nie dosięgła ich wojenna zawierucha, bogate i ludne. Plotki głosiły, że na kontraktach na dostawę wołowiny i skór dla wojska hrabia zbił taki majątek, że mimo wojennych podatków, osobiście wyposażył i przekazał pod dowództwo Laskolnyka dwie chorągwie pancerne.

Lecz o ile ten arystokratyczny nuworysz mógł chcieć wydać córkę za potomka rodu Strażników Chorągwi i przyszłego członka Rady Pierwszych, o tyle teraz z pewnością zerwie zaręczyny.

Subren-kul-Marres, siedząc samotnie w gabinecie w posiadłości dziwnie cichej i spokojnej jak na tę porę dnia, ukrył twarz w dłoniach i po raz pierwszy od trzydziestu lat zapłakał. Płakał nad własną głupotą, nad sobą, swoim synem, nad hańbą rodu. Płakał także nad tym, że od siedmiu pokoleń żaden książę Wschodniej Satrii nie odszedł z tego świata, nie dzierżąc dumnie tytułu Strażnika Chorągwi.

I nie mógł przestać.

* * *

Następnego dnia o świcie pierwsze podjazdy se-kohlandzkiej armii dotarły pod miasto. I zaczęła się największa bitwa w najnowszej historii Imperium.

* * *

Mężczyzna zanurzył pióro w kałamarzu, otarł końcówkę z nadmiaru atramentu i zaczął pokrywać papier prostymi, wyraźnymi literami:

„Córka namawiała mnie to tego, bym spisał wspomnienia z mojego udziału w Bitwie o Meekhan, by nie przepadły.”

Zawahał się. Początek znów był kulawy i niezgrabny, ale w końcu

uprzedzał Maiwę, że pisanie nigdy nie było jego mocną stroną. Poza tym będzie jej miło, że wspomina o niej już w pierwszym zdaniu.

„Lecz jak mam opowiedzieć o tym, czego dokonaliśmy, skoro przede mną opowiedziano tę historię już sto razy? Napisano o niej wiele ksiąg, poematów i wierszy. I mnie też wiele razy pytano, proszono, błagano i zmuszano do jej opowiadania, mimo że nie lubię i nie umiem tego robić. Wreszcie przestałem zakładać koszule, na mankietach, których szkarłatną nicią wyhaftowano ANNKS, żeby tylko ludzie dali mi spokój. Nie zasłużyłem na ten monogram, dzięki któremu w każdą rocznicę bitwy, przez całe trzy dni nawet generałowie pierwsi oddają mi honory, a w każdym razie nie zasłużyłem na niego bardziej niż wszyscy ci, którzy zostali tam, w wiśniowych sadach na wzgórzach ols-Tersa, leżąc na ziemi, gdzie krew mieszała się z płatkami kwiatów...”.

Westchnął ciężko, umoczył ponownie pióro, zaciskając je w palcach tak mocno, aż zatrzeszczało. Zaczął pisać pospiesznie, stawiając litery bardziej rozchwiane i gniewne niż przed chwilą:

„Wszyscy, rodzina i przyjaciele, proszą mnie, bym spisał wspomnienia z tej bitwy, bym oddał hołd poległym, jakby jakiegokolwiek hołdy były im potrzebne, jakbym nie wiedział, że hołdy i chwała to nic więcej, jak tylko dym i mgła mamiące oczy żywym.

Zacznę więc od tego, że Sześćdziesiąty Siódmy Pułk Piechoty Białej Wydry poszedł do Bitwy o Meekhan w sile dwóch tysięcy czterystu sześćdziesięciu ośmiu ludzi. Wrócił do koszar...”.

Ręka mężczyzny zadrżała, niesforna kropla czerni zawisła groźnie nad papierem. Otarł ją w bibułę, szybkim, nerwowym ruchem, skreślił ostatnie trzy słowa i kontynuował:

„Do koszar wróciło nas pięciuset osiemnastu, z czego czterdziestu trzech oddało później ducha na skutek ran odniesionych w walce. A wszystko to stało się, ponieważ już pierwszego dnia Yawenyr uderzył na Wały Kregana tak potężnie, że zagon Jeźdźców Burzy zdobył kopiec, na którym flagami sygnałowymi przekazywano rozkazy dla całej armii broniącej Doliny Sawyeradzkiej i...”.

Zamarł i przez chwilę walczył intensywnie z ochotą zmięcia kartki i rzucenia jej w kąt, tam gdzie leżało już kilka innych. Znów nie tak! Nie

tak! Chciał opisać te dwa dni i dwie noce tak, jak zapamiętał: z bólem, krwią, strachem i rozpaczą, ale też z dumą, gniewem i tym cholernym, zasranym czymś, co sprawiło, że gdy Samgeris-ols-Tersa, dowódca Sześćdziesiątego Siódmego po raz pierwszy wypowiedział słowa, które stały się bojowym zawołaniem pułku, jego żołnierze śmiali się jak szaleni, choć nie było tam nic do śmiechu. A potem walczyli całą noc tak, że rankiem można było zejść ze wzgórza, nie stawiając stopy na gołej ziemi.

Tyle leżało tam ciał koczowników.

To było przed tym, nim kwiat nie zakwitł na krzemiennej koronie. Nim Wielka Chorągiew nie załopotowała nad polem bitwy, a czterdzieści tysięcy jeźdźców nie wykonało największej i najbardziej szalonej szarży kawaleryjskiej w historii Meekhanu.

Umieścił pióro na podstawce i powoli położył dłonie po obu stronach kartki. Zaczynij od początku, dziadku, poradziła mu kiedyś najmłodsza wnuczka. Ja zawsze tak robię.

Kałamarz, wytrzeć nadmiar atramentu, sięgnąć po nową kartkę.

„Meekhan, Miasto Miast, stolica Imperium, składa się z dwóch części: Starego Miasta, z sercem nazywanym Krzemienną Dzielnicą, które zostało wzniesione jako pierwsze po tej stronie gór, i Nowego Miasta, które wyrosło nieco obok, ale wielkością i bogactwem dziesięciokrotnie przyćmiło swojego przodka. Stare Miasto rozsiało się na grzbiecie skalnej ostrogi i w czasach swojej świetności zostało znakomicie ufortyfikowane. Lecz gdy Imperium zaczęło się rozrastać na północ, mury nowej stolicy okazały się zbyt ciasne dla rosnącej metropolii. Więc naprzeciw starych zaczęły się pojawiać nowe dzielnice, i wkrótce dziewięć dziesiątych miasta znalazło się na kilku sąsiednich wzniesieniach, oddzielone od pierwotnej części Meekhanu szeroką i głęboką Doliną Sawyeradzką. Najpierw nikt tam nie budował, gdyż tereny te należały do cesarza, później zaś okazało się, że okoliczne wzgórza mają lepszy klimat, lepsze ziemie i łatwiejszy dostęp do wody niż szeroka i głęboka, lecz kamienista i poprzecinana kapryśnymi, górskimi potokami dolina, więc zostawiono ją niezagospodarowaną. Z czasem i te ziemie zaczęto wykorzystywać – powstały parki, sady, zbudowano kilka pałaców, które kolejni cesarze w ramach łask i nagród dzierżawili różnym ludziom, a nawet stworzono wielką trasę wyścigów konnych, na której kilka razy

w roku zdobywano lub tracono fortuny. Jednak gdyby spojrzeć na mapę, stolica przypomina kształtem dłoń z odchylonym w bok długim kciukiem. Ten kciuk to Stare Miasto, pozostałe palce trzymające się razem to nowe dzielnice, umiejscowione na kilku okolicznych wzgórzach. Wolna przestrzeń między kciukiem a resztą, długa na ponad dwie mile, szeroka zaś na niemal jedną, to Dolina Sawyeradzka. Stare i Nowe Miasto opierają się o góry, a łączy je Kanma, dzielnica rzemieślników i robotników miejskich, będąca ongiś przedmieściem Starego Miasta. Tam właśnie, między skromnymi kamienicami, wśród wąskich uliczek i placyków, Laskolnyk...”

Mężczyzna skrzywił się i wykreślił starannie ostatnie zdanie. To, co zrobił Laskolnyk nie miało znaczenia dla jego opowieści. Żadnego znaczenia dla prawie dwóch tysięcy poległych z Sześćdziesiątego Siódmego.

Najmniejszego.

„Mieliśmy, od chwili, gdy cesarz złożył przysięgę w świątyni, kilka miesięcy, by ufortyfikować miasto, które rosnąc w czasach największej potęgi Imperium, nie miało żadnych murów. A nie było to proste zadanie. Nowe dzielnice trzeba by było od północnej, wschodniej i zachodniej strony otoczyć murami o długości ponad dziesięciu mil, lecz nie dało się tego zrobić zimą, gdy mróz ścinał wodę w lód. Zimą nie stawia się kamiennych ani ceglanych murów, bo zaprawa nie zwiąże kamieni ani cegieł”.

Po chwili namysłu znów skreślił ostatnie zdanie, nie będzie pisał takich oczywistości. Zamoczył pióro w kałamarzu i kontynuował:

„Prace nad umocnieniem rozpoczęły się wiosną, ledwo słońce zaczęło mocniej przygrzewać, a i tak większość naszej obrony stanowiły ziemno-drewniane wały, w których linie włączono co solidniejsze budynki, znajdujące się na obrzeżach miasta. I tak okazało się, że najpiękniejsza metropolia świata, klejnot w koronie Imperium, powierza swe istnienie murom z błota i kłód, jakby było stolicą brudnych barbarzyńców z dalekiej Północy. Ale postawiono przy pomocy wojska i mieszkańców trzy, a miejscami nawet cztery linie wałów, im głębiej cofnięte w miasto, tym bardziej wzmocnione coraz licznieszymi budynkami. Niejeden arystokrata zapłakał, widząc, jak jego fikuśny pałacyk zamienia się we wzmocniony punkt oporu, jak karczuje się stu – i dwustuletnie drzewa w pięknie utrzymanym parku i kopie fosy pośrodku pielęgnowanego od pokoleń

trawnika. I tak Meekhan zmienił się w żółwia opancerzonego tak, że nawet nasza piechota nie miałaby ochoty go zdobywać”.

Uśmiechnął się pod nosem. Tak, takie opisy, po wojskowemu proste i przejrzyste mógł tworzyć. Na tym się znał.

„Lecz żółw ten miał słaby punkt – wejście do Doliny Sawyeradzkiej. Gdyby chciano otoczyć Nowe Miasto murami od strony tej doliny, należałoby wznieść dodatkowe trzy–cztery mile wałów. Zamiast tego zdecydowano się zamknąć tylko wejście do samej doliny, niespełna mila umocnień miała zapewnić nam skrócenie linii obrony i zmniejszyć liczbę wojska potrzebnego do odparcia ataku. Umocnienia te nazwano Wałami Kregana i nie było w tym krzty kpiny. Wierzyliśmy, że cesarz zasługuje na takie uhonorowanie. W końcu osobiście natchnął nas wiarą w zwycięstwo.

Czy...”.

Pióro zawahało się, zadrżało niepewnie. Choć od tej bitwy minęło już wiele lat, pewnych spraw lepiej nie wspominać. O pewnych rzeczach nie pisać. Po chwili mężczyzna zacisnął wargi. Najpewniej tych wspomnień nie będzie czytał nikt, poza jego najbliższymi.

„Czy atak w tym właśnie miejscu był przypadkowy, czy też, jak głosiły późniejsze plotki, Yawenyr miał w mieście szpiegów, którzy wskazali mu ten właśnie fragment wałów – nie wiem. Gdyby koczownicy zdobyli dolinę, weszliby w trzewia Meekhanu – między Stare i Nowe Miasto. Mieliby wymarzone miejsce do ataku na niechronione od tej strony dzielnice. A może, jak powiadają niektórzy, wszystko to od początku było pułapką zastawioną przez geniusz cesarza, który skłonił wschodnich dzikusów do walki na meekhańskich warunkach. Pozornie poza miastem, na otwartym terenie, lecz w rzeczywistości w ciasnej, porośniętej zagajnikami i sadami oraz poprzecinanej strumieniami i stawami dolinie, gdzie jazda miała niewiele miejsca na manewr, gdzie trzeba było bić się twarzą w twarz, tarczą w tarczę, a nie śmigać konno szyjąc z łuku z bezpiecznej odległości. Jeśli jednak był to plan cesarza, siła i zawziętość ataku Se-kohlandczyków zaskoczyła wszystkich. A nas, Sześćdziesiąty Siódmy, najbardziej”.

* * *

Psiarka osadziła konia tak gwałtownie, że aż przysiadł na zadzie,

wyprostowała się i powolnym ruchem sięgnęła do torby przy siodle. Żołnierz, który ją zatrzymał, nie miał broni w ręku, co znaczyło, że ci inni, których obecność zdradzało tylko nienaturalne kołysanie się pobliskich krzaków, mają. Najpewniej ciężkie kusze z paskudnymi, grubymi jak męski paluch bełtami, które robiły w ludzkim ciele naprawdę duże dziury.

— Wywiad Zewnętrzny. Raport dla cesarza — zaczęła, zanim jeszcze padło zwyczajowe „Kto jedzie?”.

Co prawda nosiła długą, fioletową pelerynę obszytą złotą lamówką, która z daleka pozwalała zidentyfikować ją jako arcyważnego posłańca, lecz tutaj, ćwierć mili od jednego z cesarskich namiotów, nawet sama Wielka Matka musiałaby mieć odpowiedni glejt, by przejechać dalej.

Żołnierz gwardii w randze porucznika dokładnie obejrzał jej papiery, zwrócił je i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Pierwszy raz tędy jedziesz?

— Tak.

— Dwieście jardów stąd, za słupem milowym jest kolejny posterunek. Lepiej nie podjeżdżaj do nich takim galopem jak tu. Są bardziej nerwowi niż my. W drogę.

Skinęła głową i pomknęła dalej. Była młodym, zwerbowanym ledwo pół roku temu Ogarem. Choć właściwie słowo zwerbowanym nie oddawało tego, co wtedy zaszło. Przybyła do miasta z falą uciekinierów z północnych prowincji, sama, bez rodziny czy przyjaciół i jak ostatnia głupia dała się podejść trójce nieznajomych: dwóm chłopakom w jej wieku i starszej kobiecie o szczerym uśmiechu. Powiedzieli, że pochodzą z tej samej okolicy co ona, powiedzieli, że też szukają kogoś ze swoich. Zaproponowali, że zaprowadzą ją do karczmy, gdzie można za kilka miedziaków wynająć kąt do spania i najeść się do syta. Skończyło się na tym, że stała w wąskim zaułku z nożem w ręce, jeden z jej niedoszłych „przyjaciół” wykrwawiał się z podciętym gardłem, drugi wył, trzymając się za rozpruty brzuch, a ich towarzyszka zadzierając spódnicę i wrzeszcząc wniebogłosy, znikła za rogiem.

Samotna dziewczyna, która przebyła sto mil z grupą uchodźców i nie skończyła z bękartem w brzuchu, musi umieć sobie radzić. Ale dla patrolu miejskiej straży, zwabionego do zaułka wyciem i wrzaskami i tak będzie

tylko zwykłą morderczynią.

To był czas Rudej Jesieni, dla obcego w mieście, schwytanego z zakrwawionym nożem w ręku nad trupami dwóch mieszkańców stolicy wyrok mógł być tylko jeden.

Mieli ją powiesić.

A potem do jej celi przyszedł miły, uprzejmy mężczyzna o łagodnym głosie i zaproponował... ocalenie. Okazało się, że ta trójka tubylców znana była w uboższych dzielnicach Meekhanu i ponoć miała na koncie wiele rabunków, a nawet kilka mordów. Sposób, w jaki się z nimi rozprawiła, zwrócił uwagę ludzi, którzy cenili pragmatyzm i hart ducha. Czy zamiast kopać powietrze, wisząc na stryczku, chciałyby służyć Imperium?

Czy chciałyby?

Miała więcej szczęścia niż rozumu, bo właśnie zaczynała się Wielka Czystka i oba wywiady, Wewnętrzny i Zewnętrzny, rekrutowały nowych ludzi skąd tylko się dało, by sprostać wszystkim zadaniom. Był to też chyba jedyny od wielu lat moment, gdy Nora i Psiarnia współpracowały niczym najlepsi kamraci. Człowiek, który w więzieniu złożył jej tę niezmiernie trudną do odrzucenia propozycję, był werbownikiem Ogarów. I tak Psiarka została agentem, nie, to za dużo powiedziane, została szczenięciem, które miało przed sobą długą drogę do prawdziwego Ogara. W ten też sposób trafiła do korpusu cesarskich gońców, gdzie narybek Szczurów i Ogarów służył ramię w ramię z tym wszystkimi urzędnikami, dla których nie było innej roboty, a nawet z pewną liczbą szlacheckich dzieciaków, zbyt młodych by zaciągnąć się do armii, i przez cały dzień dostawała najprostsze i wymagające najmniej myślenia zadania. Przynieś, wynieś, pozamiataj. Dostarcz wiadomość w jedno miejsce i zanieś odpowiedź w inne.

Jak jej powiedziano, gołębie pocztowe radzą sobie z tym równie dobrze, ale zaletą ludzkich gońców jest to, że nie srają gdzie popadnie.

No i gołębie nie noszą takich fikuśnych peleryn.

Do słupa milowego podjechała stępa, z daleka machając przepustką. Tym razem oprócz ostrzegawczego mrowienia między łopatkami poczuła też zapach lawendy i świeżo skopanej ziemi i gwałtowne swędzenie obu skroni. Gdzieś w pobliżu jakiś mag obmacywał ją czarami.

Sprawdzili ją szybko i bez zbędnych słów, po czym oficer

w ciemnoczerwonym płaszczu cesarskiej gwardii wskazał jej ścieżkę.

— Prosto, a za tym zakrętem będziesz już widzieć cesarski namiot. Otacza go rząd czerwonych palików, masz się zatrzymać przed nimi i resztę przejść pieszo. Drogę powrotną wskażą ci później.

Galop, zakręt, cesarski namiot w kolorze granatowym, rząd szkarłatnych tyczek otaczających go w odległości dwudziestu jardów. Zatrzymała konia tuż przed nimi, lekceważąco zarzuciła wodze na jeden z palików i potruchtała do namiotu.

— Wywiad Zewnętrzny, raport dla cesarza — rzuciła wartownikowi, chyba trochę niepotrzebnie, bo ten już usuwał jej się z drogi. Najwyraźniej posłańcy przybywali tu i wybywali niczym pszczoły do ula.

Koczownicy pojawili się wczoraj wieczorem i otoczyli miasto z podziwu godną sprawnością, a od rana, od ponad dwóch godzin, przypuszczali próbne ataki. Kregan-ber-Arlens najwyraźniej zaś nie mógł wytrzymać w jednym miejscu. Opuścił pałac w Starym Mieście, gdzie powinien przebywać dla własnego bezpieczeństwa i od bladego świtu jeździł po zewnętrznych dzielnicach, wizytował pierwszą linię wałów, by osobiście zerknąć na armię Ojca Wojny, a nawet kazał rozstawić namiot w Dolinie Saweradzkiej, skąd dowodzona obroną na tym odcinku. Doprowadzało to do szału zarówno jego generałów, jak i naczelników obu wywiadów, ale w tej chwili nie było nikogo, kto miałby dość odwagi, by kazać młodemu cesarzowi usiąść w spokoju na dupie i czekać. Wiadomym było, że nawet Yawenyr nie jest na tyle szalony, by podejść pod miasto stutysięczną armią i zaatakować je niemal z marszu. Całonocne przygotowania ledwo pozwoliły mu rozstawić wojska na pozycjach. Ten pierwszy dzień powinien być wypełniony testowaniem sił obrońców i ewentualnym, poprzedzonym kilkoma godzinami przygotowań, próbnym szturmem, więc aktywność cesarza była całkowicie niepotrzebna.

Na szczęście Ogary potrafiły go w miarę sprawnie zlokalizować, inaczej Psiarka musiałby latać po całym mieście, by wykonać zadanie.

Wnętrze było takie, jak je sobie wyobrażała – obszerne, z dwoma stołami, których przykryte szafranowymi obrusami blaty uginały się od map, z kilkoma biurkami, przy których kanceliści trwali w pełnym napięcia oczekiwaniu, gotowi pokryć karty kolejnymi rozkazami, i z grupką stojących

pod ścianą gońców, noszących, podobnie jak ona, fioletowe peleryny.

Cesarz stał pośrodku, w ciężkiej zbroi, z hełmem pod pachą. Wyglądał na zmęczonego i spiętego.

— Raport? — Odziana w pancerną rękawicę dłoń wyciągnęła się w jej stronę.

— Tak, Wasza Wysokość. — Podała mu zalakowane pismo, lecz wtedy poły namiotu zafurkotały, szarpnięte gwałtownie, i do środka wpadł goniec.

— Panie, przełamali Wał Kregana! Padł Kopiec Weh-Rannina. Straciliśmy flagi sygnałowe dla doliny!

A Kregan-ber-Arlens w jednej chwili stracił całe zainteresowanie jej osobą i pismem, które trzymała w ręku.

* * *

— Atakują kopiec Weh-Rannina, panie pułkowniku! Zaraz padnie!

— Widzę.

Samgeris-ols-Tersa, dowódca Sześćdziesiątego Siódmego, zacisnął usta, zaklął pod nosem. Jego pułk miał trzymać lewą część wejścia do doliny, a Trzydziesty Dziewiąty – prawą. Prawie pięć tysięcy żołnierzy to dość, by obsadzić milę podwójnych umocnień, bo za pierwszym wałem szczyrzyły drewniane zęby drugi. Z tyłu, w głębi doliny stał w rezerwie Dwudziesty Piąty Pułk, który miał wesprzeć ich, gdyby zrobiło się ciężko. Razem te trzy pułki tworzyły Piąty Stołeczny Regiment Pieszy i wszystkim się wydawało, aż do tej chwili, że to dość, by odeprzeć każdy atak koczowników.

Tylko że natarcie, które rozpoczęło się dwie godziny temu, przerosło ich najgorsze obawy. Wiedzieli, że armia Yawenyra przybywa pod stolicę w pełni przygotowana do oblężenia. Z bateriami katapult i balist, z oddziałami inżynierów i grupami wyspecjalizowanymi w szturmowaniu murów, ale nie sądzili, że ci barbarzyńcy tak szybko ruszą do natarcia. A atak na Wały Kregana od początku wyglądał tak, jakby to miał być decydujący szturm. Gwałtowny ostrzał spowodował, że w kilka chwil palisady obrońców zakwitły tysiącami strzał, a kamienie z katapult i ciężkie pociski z balist nie pozwalały żadnemu z żołnierzy nawet na mgnienie oka wychylić głowy zza osłony. A potem do szturmów ruszyła se-kohlandzka piechota. I to na całej długości wałów jednocześnie. A na ich środku,

dokładnie na styku między Sześćdziesiątym Siódmym a Trzydziestym Dziewiątym, pojawiły się wieże oblężnicze. Wieże! Jakim cudem? Zastrani koczownicy musieli przywieźć je pod miasto w częściach i złożyć w nocy. Pierwsza linia umocnień padła po godzinie zawziętej, bezlitosnej walki, druga zaś po pół godzinie. A wybicie w wałach dziur na tyle dużych, by zmieściły się w nich oddziały kawalerii, zajęło atakującym mniej niż kwadrans.

A teraz Samgeris-ols-Tersa patrzył bezsilnie, jak szara, połyskująca stalą masa se-kohlandzkiej jazdy wlewa się w głąb doliny.

Główne siły uderzyły na wprost, w kierunku wzniesionego przez księcia Ohara-weh-Rannina wysokiego na dwieście stóp kopca, gdzie zamontowano pięć olbrzymich masztów, dzięki którym flagi sygnałowe miały być widoczne w całej dolinie. Koczownicy wiedzieli, co robią, bez tych masztów oddziały imperialne, zepchnięte z pierwszej linii obrony, będą zdane na powolnych, łatwych do przejścia gońców. A magów posiadających aspekty ułatwiające kontakt na odległość było niewiele i wszyscy służyli gdzie indziej.

Koczownicza kawaleria dotarła do kopca, sprawnie okrążyła go z obu stron, po czym, dwoma oddziałami ukształtowanymi w ostre niczym groty włóczni kliny, uderzyła na jego szczyt. Po chwili pierwszy maszt zachwiał się i runął.

Stojący obok dowódcy kapitan kompanii szturmowej zmrużył niedowidzące oczy.

— Jaki sygnał nadali ostatni, panie pułkowniku?

Samgeris-ols-Tersa prychnął gniewnie.

— Jeśli dobrze odczytałem to chyba „pierdołę to”. Nie zadawaj głupich pytań, Ymlech. Zbierz swoich chłopców. Cofamy się, zanim nas odetną.

Większość Sześćdziesiątego Siódmego wciąż była na wałach, ale stanowiło tylko kwestię czasu, kiedy koczownicy otoczą ich i wyrzną. Dwie kompanie broniące lewego skrzydła pułku już były spychane w tył.

— Dokąd, panie pułkowniku?

— Tam — dowódca wskazał odległe o kilkaset kroków wzgórze, które wyglądało z tej odległości jak pokryte biało-różowym puchem. — Do tych sadów wiśniowych.

Gdy goniec przekazał wstrząsające wieści, cesarz przez moment wyglądał na zaskoczonego. Nie. Na niepewnego i zagubionego.

Przynajmniej Psiarka takie właśnie odniosła wrażenie w czasie tych kilku uderzeń serca, nim Kregan-ber-Arlens nie otrząsnął się z szoku, marszcząc brwi i krzywiąc gniewnie.

— Psiakrew! Nie wierzę, że to robi. Konia! Muszę to zobaczyć na własne oczy!

Nikt nie zaprotestował, a gdy poła namiotu zafurkotała za cesarzem, Psiarka została z pismem w wyciągniętej w bezsensownym geście ręce. Westchnęła, a wtedy jeden z adiutantów posłał jej porozumiewawcze spojrzenie.

— Jaka wstążka.

— Niebieska.

Niebieską wstążką przewiązywano raporty ważne, ale nie najważniejsze.

— Połóż tam — wskazał stół, na którym leżało już kilka innych dokumentów. — Przeczyta, jak sytuacja się uspokoi. Albo i nie.

* * *

„Wzgórze wznosiło się łagodnym grzbietem nad doliną, wyglądając trochę jak wydłużona i mniej stroma wersja kopca, który zdobyli Sekohlandczycy. A tak naprawdę było to kilka wzgórz, gdyby wykarczować wiśniowe sady, widać by było wyraźnie co najmniej trzy wzniesienia, leżące jedno obok drugiego, ale przerwy między nimi były niewielkie i płytkie, więc dla obrony nie miały żadnego znaczenia”.

Mężczyzna przeczytał ten fragment już trzy razy i znów zacmokał nad nim z irytacją podszytą zniecierpliwieniem. Nie. Z całą pewnością Nieśmiertelni poskąpili mu talentu do składania słów w opowieść. Słuchał i czytał wiele opisów tych wzgórz, gdzie porównywano je do chmur podświetlonych zachodem słońca, do samego słońca wynurzającego się znad horyzontu i do boskiej piany skąpanej w krwi bohaterów – cokolwiek miałyby to znaczyć. A dla niego były to, i zawsze będą, po prostu trzy leżące jedno obok drugiego, niezbyt wysokie wzniesienia, które wiele lat temu jakiś arystokrata postanowił przerobić na sad. A że był dziwakiem lubiącym

wiśnie, obsadził je tymi właśnie drzewami. Drzewa rosły miejscami tak gęsto, że ich korony splatały się ze sobą, tworząc dach, czasem tak niski, że żołnierze stojący pod nim nie mieliby szansy zadać porządnego ciosu znad głowy.

Ale w końcu meekhańską piechotę szkolono do tego, by raczej unikać takich uderzeń. W przeciwieństwie do koczowników, dla których zamasyte cięcia szablą były dość naturalne.

Mężczyzna westchnął, zirytowany tym, w którą stronę zdryfowały jego myśli i sięgnął po pióro.

„Sześćdziesiąty Siódmy obsadził te wzgórza w sile około dwóch tysięcy stu ludzi. Ponad trzystu żołnierzy zostało pod wałem Kregana, kilkudziesięciu straciliśmy wycofując się, gdy lekka jazda wsiadła nam na plecy. Ale większość dotarła na miejsce, a gdy weszliśmy w cień wiśniowych drzew, okazało się, że ich gęste, posplatane i porośnięte kwiatami gałęzie doskonale chronią nas przed strzałami. Każdy pocisk grzął w tej gęstwinie”.

Piszący cmoknął, poirytowany, i skreślił „gęste”. Tak brzmiało to lepiej.

„Za wzgórzami otwierała się wolna droga do Nowego Miasta i ci, którzy stali z tyłu, mogli obejrzeć się, by zobaczyć kamienice i pałacyki najbliższej dzielnicy. Między nami a miastem było tylko kilka parków i niewielki staw. Właściwie prawym skrzydłem opieraliśmy się o jej pierwsze zabudowania, lewe, nieco cofnięte, osłaniał nam Dwudziesty Piąty, który ruszył na pomoc, by załatać dziurę w obronie. Wtedy jeszcze myślałem, że to oni mają się gorzej, bo stali na otwartym terenie, niechronieni przez nic, poza murem tarcz. Zatykali własnymi ciałami kawałek trasy Wielkiej Cesarskiej Gonitwy i wszyscy spodziewaliśmy się, że koczownicy tam właśnie skierują cały impet natarcia. Na stojący pod gołym niebem Dwudziesty Piąty Pułk Czarnej Pustułki.

Lecz gdyby wróg zawsze robił to, czego się spodziewamy, Meekhan zdołałby wygrać każdą wojnę. Podbilibyśmy już cały pieprzony świat”.

* * *

Kregan-ber-Arlens osadził konia krótkim, niecierpliwym szarpnięciem wodzy, a towarzyszący mu oddział gwardii raz-dwa otoczył go pancernym

kordonem. Ogier cesarza zarżał wyzywająco i zadrobił w miejscu kopytami, a jego jeździec poklepał zwierzę uspokajająco po szyi. Na czas bitwy Kreganber-Arlens dosiadał wierzchowców wybranych przez samego Laskolnyka, długonogich, szybkich i wytrzymałych, ale były one także szkolone do walki, więc czasem miał wrażenie, że rumak chętnie by pogalopował tam, skąd dochodziły odgłosy starcia.

Uśmiechnął się pod nosem. Tu byli zgodni. On i koń. Gdybyż była to walna bitwa na szerokiej równinie, którą wygrywa się decydująco, ostateczną szarżą na wroga, sam by tę szarżę poprowadził. I nawet Wielka Matka by go nie powstrzymała.

Zamiast tego musiał obronić miasto. Olbrzymie, rozlane po wielu wzgórzach, obwarowane w większości ziemno-drewnianymi umocnieniami. Zgromadził do tego starcia czterdzieści sześć tysięcy piechoty i prawie czterdzieści tysięcy jazdy przeciw, jak donosili szpiedzy, co najmniej pięćdziesięciu a może i stu tysiącom koczowników. Ale konna armia Laskolnyka czekała w odwodzie na chwilę, gdy Yawenyr zaangażuje większość swych sił w szturm, więc w tym momencie cały ciężar bitwy spoczywał na piechocie.

A on nie miał jej pod dostatkiem. Co prawda piechotę broniącą zewnętrznych dzielnic wspierali ochotnicy, oddziały złożone z rzemieślników, kupców, a nawet miejskiej biedoty, ale to i tak było za mało, bo łączna długość trzech linii wałów wokół stolicy sięgała czterdziestu mil. Plany, jakie układali przez ostatnie miesiąca zakładały, że zmuszą Sekohlandczyków do szturmowania, oddadzą pierwszą, może nawet drugą linię obrony, wciągną w walkę między budynkami, a tymczasem konna armia Laskolnyka obejdzie stolicę i zaatakuje Yawenyra od tyłu. W tej chwili większość meekhańskiej kawalerii znajdowała się dziesięć mil na wschód od miasta, ukryta w dwóch górskich dolinach. Zgodnie z planem mieli wyruszyć dziś w nocy, by rano wyjść na plecy wroga zajętego atakowaniem miasta.

Tylko że, zgodnie z najnowszymi raportami, koczownicy niezbyt kwapili się do szturmowania zewnętrznych wałów. Rozłożyli się już wokół stolicy obozem, sypali szańce, gdzieniegdzie rozstawiali maszyny, lecz jak na razie jedyne natarcie przypuścili na wejście do doliny.

Po drodze spotkali trzech kolejnych gońców, a z ich raportów wyłonił się w miarę spójny obraz walki. Oba pułki broniące wałów zdołały się wycofać, ponosząc straty, lecz zachowując zdolność bojową. Dwudziesty Piąty Pułk, będący tak naprawdę jedyną rezerwą w dolinie, ruszył i zajął pozycję ćwierć mili za zdobytym przez Se-kohlancyków kopcem, zatykając dziurę między oddziałami wypchniętymi z wałów. W tej chwili wszystkie trzy pułki tworzyły wklęsłą linię obrony, dość płytką, ale koczownicy nie wykonali jeszcze zdecydowanego ruchu, zupełnie jakby szybkość, z jaką zajęli kopiec z flagami sygnałowymi, zaskoczyła ich samych i nie bardzo wiedzieli, co teraz zrobić.

Cesarz uśmiechnął się pod nosem. I co, Yawenyrze, synu oparszywiałej kobyły, zastanawiasz się, czy to nie jest przypadkiem podstęp? Nie spodziewałeś się, że wdrzesz się do doliny pierwszym szturmem, tak jak ja nie spodziewałem się, że uderzysz z taką siłą w tym właśnie miejscu. Podejrzewasz, że za plecami tych trzech pułków ukryłem całą armię? Gdybym ją miał, czekałbym na ciebie przed miastem, kutasie. I po co właściwie się tu pchasz?

Cesarski oddział zatrzymał się na Wzgórzu Łabędzi, w miejscu, skąd rozciągał się widok na trasę Wielkiej Cesarskiej Gomitwy, długiego na kilka mil, bardzo trudnego wyścigu konnego, który odbywał się w dolinie kilka razy do roku. I dzięki temu roztaczała się stąd też wspaniała panorama całej Doliny Saweradzkiej. Wejście odległe o nieco ponad dwie mile było już zdobyte, nawet z tej odległości widział szerokie wyrwy w wałach. Kopiec Weh-Rannina, wzniesienie, z którego miano flagami przekazywać rozkazy oddziałom w dolinie, był w tej chwili w rękach se-kohlandzkiej piechoty. Zwiadowcy zdążyli mu już donieść, że ten ruch widoczny na jego szczycie to balisty i katapulty, które koczownicy tam instalują. Jak skończą, będą mieli ostrzał na trzysta, może czterysta jardów wokół. Tłumaczyło to zwłokę w natarciu, najwyraźniej Ojciec Wojny również wiedział, że to najważniejsza bitwa, jaką stacza od pierwszego dnia najazdu i nie zamierzał niczego oddać w ręce przypadku.

Cesarz przeniósł wzrok na kopiec.

— Co ty planujesz, sukinsynu? — mruknął pod nosem, mając na myśli Yawenyra.

Do tej pory wódz Se-kohlandczyków raz po raz zaskakiwał ich szybkością, manewrem albo dzikością i nieprzewidywalnością swoich ataków. W każdej bitwie uderzał, cofał się nagle, dokonywał pozorowanych odwrotów, szukał luki w meekhańskiej obronie, a gdy ją znalazł, walił tam z całej siły. Tu jednak atakował tak, jakby był imperialnym generałem, tak... matematycznie.

Młody władca zacisnął pięści. O to ci chodzi? O walkę na wyczerpanie?

Wyraźnie zobaczył, jak zza linii zdobytych wałów wyłoniły się karne szeregi se-kohlandzkiej jazdy. Mijały obsadzony artylerią kopiec, po czym jeźdźcy zsiadali z koni i formowali równe czworoboki. Może, jeśli chodzi o wyszkolenie i uzbrojenie, musieli oddać pierwszeństwo meekhańskiej piechocie, ale dyscypliną z pewnością jej nie ustępowali.

Cesarz pokiwał głową, gdy spłynęło na niego nagłe zrozumienie.

Więc wiesz, ile mam piechoty, co, sukinsynu? Wiesz dobrze, więc nie atakujesz miasta, bo i po co? W jednej chwili wykrwawimy cię tam jak prosiaka. Ale jeśli zmusisz nas do bitwy w tej dolinie, jeśli wypełnisz ją wojskiem, będziemy musieli przesunąć tu oddziały z miasta, osłabić wały wokół niego. A wtedy uderzysz na nie z całej siły. Masz dość ludzi, by stoczyć dwie bitwy, jedną tu, a drugą szturmując zewnętrzne umocnienia.

Niedoczekanie, koniojebco. Nie zabiorę nawet jednego żołnierza z głównych wałów, Piąty Regiment musi sobie poradzić sam.

Przywołał ręką najbliższych gońców.

— Rozkazy dla dowódców Dwudziestego Piątego, Trzydziestego Dziewiątego i Sześćdziesiątego Siódmego. Mają się utrzymać za wszelką cenę. Ani kroku wstecz.

* * *

Samgeris-ols-Tersa prychnął, zirytowany, na co goniec poczerwieniał wyraźnie. Taki wyraz lekceważenia przy odbieraniu cesarskich rozkazów był... niewybaczalny.

— Ani słowa o posiłkach, co? Chłopcze? Ani pół słóweczka. Mam utrzymać te wzgórza z dwoma tysiącami ludzi, a gdybym ustawił ich tarcza przy tarczy, to nawet potrójnej linii byśmy nie zrobili.

Stali na szczycie środkowego wzniesienia, pod dachem z ukwieconych

gałęzi wiśni. Wszędzie wokół rosły drzewa, tysiące drzew, w równiutkich szpalerach. Goniec, który sam miał za sobą dziesięć lat służby w armii, musiał przyznać, że cholernie trudno będzie dowodzić obroną tego miejsca, bo widoczność sięgała nie dalej niż kilkadziesiąt jardów, więc nie sposób ustalić kierunku ani siły ataku wroga, dopóki nie znajdzie się on tuż przed tobą.

Jednak rozkaz to rozkaz.

— Rozkazy...

— Słyszałem. I wykonam albo zginę, próbując. Ale byłoby lepiej, gdyby Jego Wysokość choć wspomniał o posiłkach. Odparliśmy już jeden atak, mniej niż tysiąc dzikusów próbowało sprawdzić, czy damy się przestraszyć i uciekniemy. I wiesz co? Bili się naprawdę dobrze, nawet bez koni. Coś mi mówi, że czeka nas długi dzień.

Nagle zewsząd rozległ się stukot siekier. Dowódca Sześćdziesiątego Siódmego Pułku pokiwał głową, wyraźnie zadowolony.

— Szykujemy się, jak słyszysz. Powiedz cesarzowi, że utrzymamy te wzgórza do zmroku.

* * *

„Zgodnie z rozkazem rąbaliśmy drzewa, kładąc je pokotem tam, gdzie koczownicy mogli uderzyć szeroką ławą. Te drzewa były naszymi przyjaciółmi, dawały schronienie przed deszczem strzał, ich nisko rosnące gałęzie zmuszały konnych do zejścia z siodła i walki pieszo, ale wzgórza były zbyt rozległe, więc ścinałliśmy wiśnie, by gąszcz ich splątanych gałęzi tworzył miejscami coś w rodzaju szerokiego na kilkanaście jardów żywopłotu, uniemożliwiającego przejście. Oczywiście Se-kohlandczycy nie czekali, aż zrobimy, co chcemy, raz po raz uderzali na nas w grupach po trzy–cztery setki, wtedy rzucaliśmy siekiery i łącząc tarcze w mur, odpieraliśmy ich twarzą w twarz. Walczyli...”.

Pióro zastygło nad kartką, nieme. Jak to opisać? Jak przelać na papier tamte chwile? Gdy zamyka oczy, przenosi się tam bez problemu i widzi wznoszące się wokół pnie drzew, niemal czarne w półmroku splątanych koron. Niektóre gałęzie wiszą tak nisko, że muskają głowy i barki skulonych za tarczami żołnierzy. Czuje powietrze, duszne i lepkie jak przed burzą,

a przesycający je zapach kwiatów wiśni niemal dławi mu oddech. Jego Trzecia Kompania ma za zadanie utrzymać środkową część wzgórza, więc stoi teraz w drugim szeregu, razem ze swoją dziesiątką, a nad głowami towarzyszy widzi ich. Idą. Najpierw luźne grupki strzelców, łucznicy podbiegają po kilka kroków, zatrzymują się na mgnienie oka i szyją w nich niczym do ćwiczebnych celów. Ale błogosławione przez Matkę drzewa, których gałęzie zwieszają się czasem tuż nad ziemią, przechwytyują większość pocisków. Dopiero z kilkunastu jardów łuki zyskują na skuteczności. Strzały lecą niemal płaskim torem i z impetem grzęzną w tarczach. Czasem nawet je przebijają, stojący przed nim żołnierz, którego twarz i imię zatarły się już w pamięci mężczyzny, klnie głośno, gdy wąski grot wychodzi z wewnętrznej strony jego pawęży, zatrzymując mu się cal przed twarzą.

Pamięta krzyk porucznika dowodzącego kompanią.

— Klękać!

Rozkaz działa, jakby niewidzialna siła podcięła im nogi. W końcu po to właśnie ich szkolono, by bez wahania wykonywali każdy. Pierwsze trzy szeregi żołnierzy przyklękają, czwarty, składający się z kuszników, pochyła się lekko i mierzy.

— Strzelać!

Grad bełtów mknie w dół wzgórza, przebija skórzane pancerze. Lekkozbrojni wrzeszczą coś w swoim języku, łapiąc za piersi, brzuchy, ręce czy nogi, tam, gdzie ciężkie pociski grzęzną w ciałach, i padają na ziemię.

— Powstań!

Żołnierze wstają jak jeden mąż, górne krawędzie ich tarcz wyglądają jak połączone niewidzialną listwą.

Idzie na nich reszta.

Tym razem to główne siły, a nie lekka piechota. Ci barbarzyńcy mają solidne, łuskowe napierśniki albo dobre kolczugi, okrągłe tarcze, stalowe hełmy. Idą krok w krok, zwartym szykiem, a nawet jeśli ich linia wygina się tu i ówdzie, to niewiele można im zarzucić. W dłoniach trzymają ciężkie włócznie, a oczy błyszczą im ponurą determinacją. W półmroku przyczajonym pod drzewami nie da się dokładnie ocenić ich liczebności, ale z pewnością jest ich dwa razy więcej niż żołnierzy Trzeciej Kompanii.

Na obu ich skrzydłach wybuchają odgłosy walki.

Inne kompanie też zostały zaatakowane...

Mężczyzna otwiera oczy zdumiony tym, jak daleko zabrały go wspomnienia. W międzyczasie pióro pocałowało kartkę kleksem, niwecząc całą jego pracę. Ale może to i lepiej? Może ci, którzy polegli pod wiśniowymi drzewami, nie zasługują, by ich historię kaleczył w opowieści ktoś tak pozbawiony talentu jak on. Zmiał kartkę i zaczął pisać na nowo:

„Pierwszego dnia bitwy nasz Regiment utrzymał wejście do doliny, odpierając wiele ataków dzikusów ze Wschodu. Trzydziesty Dziewiąty walczył na lewym skrzydle, broniąc Pałacu Łaziennego i otaczającego go stawu. Woda w stawie zrobiła się czerwona od krwi. Dwudziesty Piąty odparł sześć ataków na środku, w tym trzy kawaleryjskie. Pod koniec dnia Sześćdziesiąty Siódmy został zepchnięty niemal na szczyt wzgórz, ale gdy słońce zaszło, wciąż byliśmy zwycięscy, choć pięciuset naszych towarzyszy poległo, a drugie tyle zostało rannych.

„Nie wiedzieliśmy wtedy, co szykuje nam noc”.

* * *

— Panie...?

Subren-kul-Marres, odstawił kielich tak gwałtownie, że wino chlapnęło na stół.

— Mówiłem, by mi nie przeszkadzać!

Chciał, by zabrzmiało to groźnie i dumnie, zamiast tego wyszło coś w rodzaju zduszonego jęku. Nieważne. Wszystko było już nieważne. Jego tytuł, majątek, władza, wszystko to pył i błoto. Wrócą z synem do domu, ożeni go z jedną z miejscowych hrabianek, doczeka się wnuków i będzie żył w spokoju przez wiele lat. Zostawi za sobą to bagno zwane stolicą świata i będzie się cieszył życiem.

Wino potrafiło otworzyć mu oczy na wiele spraw.

— Ważne wieści, panie.

Skupił wzrok na człowieku zakłócającym mu spokój. Był głównym lokajem i nadzorował resztę tej bandy, która patrzyła tylko, jak okraść swego dobroczyńcę. Część z niej nie wróciła już do pałacu, ale niczego więcej się nie spodziewał po takich jak oni. W końcu nie wypłacił im jeszcze

pieniędzy za ten miesiąc, a ta hołota bez honoru dla brzęczącego srebra zrobi wszystko.

— Mów... — Imię sługi wyleciało księciu z pamięci. — No mów!

— Bitwa, panie...

A tak, bitwa. Choć trwała już cały dzień, to jakby jej nie było. Człowiek musiał dobrze wyteńczyć słuch, żeby z odgłosów nocy wyłuskać odległy szum, inny od zwykłego gwaru miasta. Ale przyszły jakieś ważne wieści, Subren-kul-Marres miał nadzieję, że jeden z dzikusów uciął łeb cesarzowi. O tak. To byłaby dobra wiadomość.

— Zdobyto wejście do Doliny Saweryjskiej, mój książę. Piąty Regiment... Trzydziesty Dziewiąty Pułk Pieszy został zmasakrowany.

Sługa wyrzucił te słowa z siebie i cofnął się, czekając na reakcję, a książę Wschodniej Satrii przez kilka długich chwil próbował rozszyfrować, w jakim języku ten parweniusz się właśnie odezwał. Wypowiedziane przez sługę słowa brzmiały trochę jak meekh i chyba układały się w jakąś sensowną całość, choć sens ten wciąż mu umykał. Piąty Regiment... Trzydziesty Dziewiąty Pułk... zmasakrowany...

Przecież... Przecież Awener...

Awener zaciągnął się do armii i służył w stopniu kapitana w Trzydziestym Dziewiątym. Subren-kul-Marres wykorzystał wszystkie kontakty, jakie miał, by umieścić syna w pułku stojącym w Dolinie Saweryjskiej, bo twierdzono, że tam te dzikusy nie zaatakują. Przeniósł go tam dosłownie kilka dni przed bitwą, nie żałując żadnego z wydanych orgów.

Czuł jak trzeźwieje.

Czuł, jakby nigdy nie był pijany.

Przenigdy.

— Wyjdź. Natychmiast wyjdź!

Tak. Teraz brzmiał wystarczająco groźnie. Na tyle, że główny lokaj znikł, jakby nagle nabył umiejętność magicznej teleportacji.

A Subren-kul-Marres, książę Wschodniej Satrii, upadł na posadzkę w komnacie i po raz drugi w ciągu ostatnich trzydziestu lat, zapłakał. W ciągu niespełna dwóch dni los odebrał mu wszystko – honor, poważanie, tytuł Strażnika Chorągwi... a teraz i syna. Jedyne go syna, ostatnią gałązkę,

którą wypuściło z siebie prastare drzewo rodu kul-Marres.

Nie miał już nic.

Absolutnie nic.

Lecz w miarę jak łzy spływały mu po twarzy, rozpacz i desperacja zdawały się maleć, za to pierś wypełniały uczucia, które – jak mu się zdawało – już zapomniał. Duma i gniew. Duma z rodu, który nosił tytuł książęcy, zanim jeszcze Meekhan przekroczył Góry Krzemienne i gniew na tych wszystkich, którzy przywiedli go do upadku. Na Omlesa-kop-Gewrasera, Innewa-tyr-Tyrrena, Henera Starszego i resztę, którzy wykorzystali go niczym tępego pachołka, i na cesarza, dla którego najwyraźniej liczący kilkaset lat ród książęcy nie znaczył więcej niż łajno przyklejone do buta.

Od siedmiu pokoleń każdy kul-Marres umierał z tytułem Strażnika Chorągwi. Każdy.

I jeszcze jedna rzecz, ostatnia.

Wielka Chorągiew nie należy do cesarza, lecz do Imperium.

A Imperium to z całą pewnością nie cesarz.

Więc zachowa ją dla godniejszego władcy.

* * *

W pałacu panował gwar i rozgardiasz, jak nie przymierzając na wiejskim targowisku. Gońcy wchodzili i, zgodnie z hierarchią przekazywanych wieści, kierowali się do odpowiednich stołów. Raporty dotyczyły rezerw, morale, ruchów nieprzyjaciela i stanu umocnień. Minęła już północ i walki zamarły, choć ruch po obu stronach bynajmniej nie. Koczownicy ryli w ziemi szeregi kolejnych szańców wokół miasta, umacniali zajęte pozycje, a nawet podciągali bliżej katapuły i balisty. Ich okopy połyskiwały tysiącami pochodni i żelaznych koszy wypełnionych płonącymi szczapami. Wyglądało to prawie tak, jakby szykowali się do wielomiesięcznego oblężenia.

Po drugiej stronie ruch również nie ustawał. Tam, gdzie nieprzyjaciel wznosił szczególnie wysokie szańce, podwyższano wały i pogłębiano fosy. Szykowano bele mokrych tkanin do pokrycia dachów, zamuroywano lub zabijano deskami okna i drzwi w budynkach, które miały stanowić kolejne

punkty oporu, gdyby padły zewnętrzne wały. Wozy, wyładowane po brzegi, czekały w gotowości, by barykadować ulice.

Niemniej, jak donosili agenci Nory, Meekhan znosił początek oblężenia nadzwyczaj dobrze. Poza kilkoma próbnymi atakami, koczownicy nie uderzyli jeszcze na miasto, a wieści o upadku Wału Kregana, choć przesadzone i mogące wzbudzić popłoch, szybko zostały skontrolowane plotką, że wszystko to jest pułapką zastawioną na wschodnich dzikusów przez cesarza. Na ulicach panował spokój i tylko świątynie rozbrzmiewały śpiewem i modłami, a bijąca przez ich otwarte drzwi luna przeganiała w cieniu szczury i opryszków.

Najwyraźniej agenci Nory działali tak jak trzeba, by podtrzymać morale.

Ale w cesarskich komnatach nastroje były znacznie mniej optymistyczne. Kregan-ber-Arlens siedział na rzeźbionym krześle i wysłuchiwał kolejnego już raportu.

— Wojska Yawenyra postawiły już prawie dwanaście mil szanćów, całkowicie odcinając nas od północy. Budują właśnie drugą i trzecią linię, jakby spodziewali się, że to my będziemy atakować. — Głos Blunreha Omnawella, Drugiego Ogara Imperium rozbrzmiewał donośnie i rześko, jakby skurczybyk opowiadał właśnie jakąś zabawną anegdotę na gwarnym przyjęciu. — Za szanćami mają trzy olbrzymie tabory, również okopane i umocnione. Tabuny koni wypędzili na okoliczne łąki, choć z tego co wiem, większość rumaków bojowych trzymają pod ręką. Na pierwszej linii stoją na razie plemiona niese-kohlandzkie. Kowenhowie, koalicja Luw'haeri, Wehrengowie, oddziały Myngonów i silny korpus Sahrendey. To oni właśnie zdobyli wał Kregana. Rdzenni Se-kohlandczycy, najlepsi Żrebiarze oraz wszyscy Jeźdźcy Burzy na razie nie ruszyli do walki.

Cesarz przerwał mu, unosząc dłoń.

— A gdzie stoją?

— Chorągiew z Czarnym Jastrzębiem wznosi się nad środkowym taborem. Tam też rozbito Złoty Namiot. Zresztą wokół tego taboru kręci się większość...

— A środkowy tabor stoi...? — cesarz uśmiechnął się uprzejmie, choć oczy miał zimne, a spojrzenie chmurne.

Ogar zamrugnął, przełknął ślinę i szybko wyjaśnił:

— Naprzeciw Owczej Bramy, Wasza Wysokość.

Czyli niemal na środku nieprzyjacielskich okopów. Kregan-ber-Arlens zgrzytnął zębami i zaklął cicho. Był zmęczony, cholernie zmęczony, a pobudzające napary, które pił od wielu dni, by zmniejszyć potrzebę snu, przestawały działać. Powinien się przespać choć kilka godzin, bo nie było wątpliwości, że skoro świt Yawenyr wykona swój ruch.

Tylko jaki? To, że od północy otoczył Meekhan szanćami, nie miało przecież większego sensu. Od południa stolica opierała się o Góry Krzemienne, przez które biegły dwie wielkie imperialne drogi oraz kilka mniejszych szlaków, co pozwalało dostarczać do miasta żywność, ewakuować ludność, a nawet ściągać posiłki, gdyby Imperium jeszcze miało je skąd ściągnąć. Osiem wielkich i sześć mniejszych akweduktów zapewniało stały dopływ świeżej wody dla obrońców. Oblężenie w celu zagłodzenia stolicy nie miało sensu, jedyną opcją dla koczowników było zdobycie jej i zatknięcie głowy cesarza na włócznie.

Na dodatek Laskolnyk już dwa razy posyłał do niego gońców. Dowódcę imperialnej kawalerii szczególnie niepokoiło to okopywanie się Se-kohlandczyków. Jeśli bardziej rozbudują umocnienia, atak jazdy może się okazać zbyt kosztowny.

Czy imperialni kawalerzyści mogą zaatakować jako pierwsi?

Nie – cesarz odrzucił ten pomysł – plan pozostawał bez zmian, choć wymagał poprawek. Wciągnie Se-kohlandczyków do miasta. Kaze większości zawodowej piechoty opuścić pierwszą linię wałów, zostawiając tam tylko garść żołnierzy i oddziały ochotników. Jeśli koczownicy zaatakują tak zawzięcie, jak uderzyli na pozycje Piątego Regimentu, powinni je zająć w godzinę albo dwie. Na drugiej linii staną zaprawione w bojach pułki, które po kolejnych dwóch godzinach dadzą się „zepchnąć” w tył. I jeśli w tym momencie Yawenyr nie rzuci do ataku swoich najlepszych sił, by dobić miasto, to znaczy, że czyta mu w myślach.

Jeśli je zaś rzuci, Laskolnyk z całą imperialną jazdą wsiądzie mu na plecy, a reszta piechoty będzie kontratakować od strony stolicy.

— Wasza Wysokość? Wasza Wysokość?

Dopiero w tej chwili zorientował się, że Drugi Ogar mówił coś do niego i najwyraźniej oczekuje odpowiedzi.

— Powtórz pytanie.

— Pytałem, czy masz, panie, jeszcze jakieś rozkazy.

— Nie. — Machnięcie ręki nie było nawet w połowie tak energiczne, jakby tego chciał. — Na razie jesteś wolny. I przekaz reszcie, że mają mnie obudzić godzinę przed świtem, chyba że Yawenyr ruszy wcześniej do ataku.

Łóżko stojące w sąsiedniej komnacie powitało go obezwładniającą miękkością.

* * *

Noc była spokojna. Bardzo spokojna, a to w czasie bitwy jest zawsze powód do niepokoju. Tylko nocne owady dawały dziki koncert, jakby zapach krwi zmieszany z zapachem kwiatów wiśni pobudzał je do brzęczenia. Samgeris-ols-Tersa też nie spał, wędrując wzdłuż linii obrony swojego pułku. Jego trzy kolejne prośby o wsparcie zostały odrzucone. Nie będzie posiłków dla Sześćdziesiątego Siódmego. Musicie się utrzymać sami. W końcu siedzicie na wzgórzach i macie do obrony niespełna pięćset jardów.

Racja. Pięćset jardów. Na mapie. W rzeczywistości bronili terenu o połowę szerszego, bo nie dało się ustawić pułku w linii prostej. Poza tym te cholerne drzewa rozrastały się szeroko i głęboko pod ziemią, co praktycznie uniemożliwiało okopanie się. Łopaty ledwo kęsały ziemię i natychmiast trafiały na płataninę twardych jak żelazo korzeni. O postawieniu najlichszego szańca wzmocnionego najpłytszą fosą, mogli tylko pomarzyć. Ścinali więc kwitnące wiśnie tak, by ich gęste korony tworzyły przeszkodę dla nacierających, a gdyby mieli dość czasu, wykarczowałiby połowę sadów, by zbudować mur z powalonych pni. Ale tutejsze drzewa były stare, twarde i niechętnie poddawały się ciosom siekier, więc udało im się tylko stworzyć coś w rodzaju „tuneli śmierci” kierujących dzikusów wprost pod kusze i na ścianę meekhańskich tarcz.

Dobre i to. Ustawił dwie kompanie na prawym wzgórzu, bo było najbardziej strome, trzy na środkowym i cztery na lewym, które sąsiadowało z pozycjami Dwudziestego Piątego Pułku. To była pozycja kluczowa dla obrony całej doliny. Najbardziej obawiał się, że koczownicy wbiją się klinem między ich pułki i wyjdą na plecy Dwudziestemu Piątemu. Jego dowódca, generał ols-Wenereh też o tym myślał, bo wzmocnił to

miejsce trzecią częścią swych sił.

Powinno wystarczyć.

Samgeris-ols-Tersa liczył. Na początku bitwy miał osiem kompanii zwykłej piechoty, trzy kuszników i kompanię szturmową. Z tego tuzina jedną stracił na Wale Kregana, dziewięć rozstawił na wzgórzach, a dwie – w tym szturmową – trzymał w rezerwie. Reszta jego ludzi - garść medyków, kilkunastu gońców i dwa tuziny wojskowych inżynierów – zwanych kompanią sztabową, nie miało w tej chwili żadnego znaczenia, zwłaszcza że trzech pułkowych magów zgodnie z rozkazem odesłał na tyły.

Myślał... miał nadzieję, że będzie się musiał utrzymać tylko do nocy, a potem albo go zluzują, albo podeślą wsparcie, ale rozkazy się nie zmieniły.

Zostajecie i ani kroku w tył.

Dadzą radę. Muszą. Dwudziesty Piąty i tak miał się gorzej, bo choć bronił nieco węższego odcinka, to walczył bez osłony drzew. Strzały dzikusów dosłownie zasłaniały słońce nad głowami jego żołnierzy.

Oni mieli się lepiej. Znacznie lepiej.

* * *

— Wasza Wysokość, atakują wały na całej długości.

— Wiem. Robią to od rana, Amneres. Przebili się gdzieś?

Generał Olheg Amneres, dowódca Drugiego Regimentu Pieszego, odpowiedzialny za utrzymanie połowy zewnętrznej linii wałów, pokręcił głową, po czym, przypominając sobie najwyraźniej przed kim stoi, dodał:

— Nie, panie. Ochotnicy z cechu szewskiego i rymarskiego odparli wszystkie ataki. Oddziały z Lah też, choć zdrowo ich okrwawili. Dwie kompanie, które im zostawiłem jako wsparcie, to za mało by...

— I nie podeślesz im więcej. Wycofaliście się i czekacie na drugiej linii. Gdy ich wreszcie zepchną, pozwolicie uciekinierom się schronić za waszymi plecami i utrzymacie drugą linię co najmniej dwie godziny, chyba że wydam inne rozkazy.

Zmierzyli się wzrokiem, młody cesarz i generał, który mógłby być jego ojcem. Olheg Amneres, choć wiekiem odstawał od najnowszych faworytów w cesarskiej armii – bo większość „wichrzycieli” i „szaleńców”, na których Kregan-ber-Arlens oparł reformę wojska, była przed trzydziestką – to

z pewnością nie ustępował im uporem. Co zresztą tłumaczyło, dlaczego po wysłaniu kilku gońców, sam zjawił się przed obliczem cesarza.

— Oni tam giną! Nasi ludzie.

— Nie tylko tam, generale. Nie tylko na twoim odcinku. Sekohlandczycy użyli już machin?

— Nie.

— Żrebiarzy?

— Nie, Wasza Wysokość.

— Więc nie atakują na poważnie. Ledwo nas tam macają. Jak uderzą na poważnie...

— Jak uderzą na poważnie żywa noga nie zostanie na przednich wałach, zmiażdżą ich. Chłopców z miasta, czeladników szewskich i biedotę z ulic. A może nie będzie ci, panie, ich żal?

Cesarz poprawił się na krześle, przechylił lekko głowę i coś na kształt lekkiego uśmieszku wykrzywiło mu wargi. Zapadła cisza.

— Wiesz, dlaczego przyjąłem cię sam, Olheg? Nie? Bo wiedziałem, że będziesz wchodził mi w słowo, ciskał się i wrzeszczał. A gdybyś zrobił to publicznie w środku bitwy, nie miałbym wyboru i musiałbym kazać cię zdegradować i ściąć. Lecz, między nami mówiąc, nie sądziłem, że oskarżysz mnie o bycie pozbawionym serca i duszy kurwim synem. Jak sądzisz, co ja tu robię?

Generał milczał. Ale jego spojrzenie nie złagodniało.

— Ja próbuję obronić Imperium przed wrogiem, który wykrwawia nas od kilku lat. Nasi uczeni twierdzą, że straciliśmy już ze trzy miliony ludzi, w bitwach, w wyrzynanych wioskach i miastach, w wyniku głodu i panoszących się chorób. I pewnie z milion pognano w niewolę. Czy te liczby robią na tobie wrażenie? Milion, dwa miliony, trzy miliony. To trzy takie miasta jak Meekhan. Przeciętny człowiek nawet nie potrafi ich sobie wyobrazić. Za tym wszystkim stoi ten pomiot Kulawca, Yawenyr. I mamy pierwszą od lat szansę połamania mu rąk i nóg oraz odcięcia łba. Sądzisz, że nie poświęcę życia tysiąca czy dwóch tysięcy żołnierzy, by tej szansy nie zaprzepaścić?

— Ale ci chłopcy nie są...

— Złożyli przysięgę i wypłacam im żołd za czas walki. Są żołnierzami.

Ale twoi ludzie są bardziej wartościowi. Jeden wyszkolony żołnierz jest wart pięć razy tyle, co taki, który jeszcze miesiąc temu buty szył. A my musimy przekonać Yawenyra, że jesteśmy słabi i że powinien śmiało uderzyć na miasto. Rozumiesz? Nic z planów, które omawialiśmy tyle razy nie uległo zmianie. Nic a nic.

Bo tylko wtedy, gdy wciągną Yawenyra w bitwę na przedmieściach, atak Laskolnyka będzie miał szansę powodzenia.

Drzwi komnaty otworzyły się gwałtownie.

— Wasza Wysokość. Meldunek z Doliny Sawyeradzkiej.

Pismo ozdobione czerwoną wstążką powędrowało do rąk cesarza.

Rozłożył, przeczytał, zmiął.

— Rozbijcie mój namiot na Łabędzim Wzgórzu. Przenoszę się na razie właśnie tam.

Posłaniec znikł, a dowódca Drugiego Regimentu Pieszego zawiesił wzrok na pomiętej kartce trzymanej w kurczowo zaciśniętej dłoni cesarza.

— Co się dzieje?

— Atakują wejście do doliny. Znacznie gwałtowniej niż sam Meekhan. Chcą mnie zmusić do wycofania żołnierzy z miasta, by osłabić główną obronę. — Cesarz zamilkł na kilka chwil, wreszcie energicznie pokiwał głową. — Właśnie tak. Na pewno tak. Przed dwoma kwadransami zdobyli Pałac Łazienny, dowódca Trzydziestego Dziewiątego pisze, że będą go odbijać.

— Mogę mu podesłać...

— Nie! Nie, do cholery. Nie będziemy wyciągać wojsk z zewnętrznych dzielnic. To musi być zmyłka... Musi.

* * *

„Mieliśmy za sobą długą noc, w czasie której mało kto zmrużył oko. Koczownicy nie nacierali na nas zbyt zawzięcie, zadawalając się szybkimi, krótkimi atakami po stu–dwustu ludzi. Po prostu sprawdzali, czy nie uciekliśmy.

Za to od świtu...

Cały długi dzień staliśmy na szczytach trzech wzgórz i odpieraliśmy atak za atakiem. A oni nacierali i nacierali, i do tej pory nie wiem dlaczego.

Napisano już wiele ksiąg na ten temat. Aelos-kas-Maner w swojej słynnej *Historii Bitwy o Meekhan* twierdzi, a wielu po nim powtarza, że Ojciec Wojny wyczuł naszą słabość, to, że mamy za mało piechoty i dlatego zamiast szturmować miasto, uderzył właśnie w to miejsce. Bo zdobycie doliny, albo przynajmniej jej większości, pozwoliłoby mu zaatakować stolicę niejako od środka. Wielu jednak jest uczonych, którzy się z nim nie zgadzają i twierdzą, że atak na nasze pozycje był samowolą jednego z Synów Wojny, pragnącego zdobyć sławę pogromcy Meekhanu. Są i tacy, którzy piszą, że wszystko to było wynikiem wewnętrznych rozgrywek w se-kohlandzkiej hordzie, a Yawenyr posłał do ataku na dolinę oddziały o niepewnej lojalności, aby je wykrwawić i by mniej rąk wyciągnęło się po łupy zwycięstwa. Tak ponoć był pewien wygranej. Niektórzy mówią też, że wszystko to było owocem chaosu i nieporozumień, które często pojawiają się na polu bitwy, a w pewnym momencie i cesarz, i Ojciec Wojny znaleźli się w sytuacji, której żaden z nich nie planował, bo tak często wyglądają wielkie bitwy.

Dla poległych z Piątego Pieszego wszystkie te teorie i wydumane analizy spisane po bitwie nie mają jednak żadnego znaczenia. Najważniejsze było to, że drugiego dnia po południu prawie czwarta część koczowniczej armii szturmowała nasze pozycje, na lewym skrzydle Pałac Łazienny pięć razy przechodził z rąk do rąk, Dwudziesty Piąty Pułk został dwa razy zepchnięty i dwa razy zebrał się do kupy i odbił teren. Podobno wtedy już cesarz przeniósł punkt dowodzenia do doliny, na Łabędzie Wzgórze, skąd obserwował nasze zmagania.

I podobno wtedy właśnie Laskolnyk omal nie dał głowy”.

* * *

— Nie.

To „nie” zabrzmiało bezdźwięcznie, ponuro, lecz jednocześnie jakoś tak... ostatecznie. Jakby wielki głaz upadł na miękką ziemię, zakołysał się lekko i znieruchomiał.

— Nie?

To drugie „nie” brzęknęło metalicznie, niczym ostrze zgrzytające o okucie pochwy.

Dwóch mężczyzn stało naprzeciw siebie, oddzielonych tylko stołem zawalonym papierami. Obaj lekko pochylali głowy, obaj zaciskali usta i obaj oddychali głęboko, jak ludzie, którzy wiedzą, że jeśli padnie jeszcze jedno nieopatrzone słowo, to nie będzie można już się wycofać i stanie się coś bardzo złego.

Jeden był cesarzem, a drugi barbarzyńcą z odległego plemienia i, jak sam podkreślał, dzikusem i bękartem.

— Nie. — Kolejne słowo głaz upadło między nich. — Nie uderzymy teraz w jakiejś beznadziejnej szarży. Nie zmarnuję moich sił...

— Naszych sił.

— Nie. Moich sił. — Być może tylko dlatego, że Genno Laskolnyk nie uśmiechnął się w tym momencie prowokująco, jego głowa pozostała na karku. — Ja je stworzyłem i wyszkoliłem. I wiem, co potrafią. Pamiętam narady przed bitwą. Mieliśmy wciągnąć większość sił Yawenyra w walkę na przedmieściach i gdy będą zajęci szturmem – uderzyć. Nie wyszło. Wczoraj prosiłem cię, żebyśmy...

— Wasza Wysokość. — cesarz wszedł mu w słowo.

— Co?

— Prosiłem cię, Wasza Wysokość. — Kregan-ber-Arlens kontynuował, uśmiechając się prowokacyjnie. Z nich dwóch on mógł. — Tak masz się zwracać do swojego cesarza, nawet, gdy jesteśmy sami, generale. Jak wygrasz dla mnie tę bitwę, nadam ci przywilej mówienia mi na ty. Ale teraz masz zachowywać wszelkie konwenanse i tytuły, ty głupi barbarzyńco.

Zapadła cisza, a gwardziści stojący przy wejściu do namiotu spięli się, gotowi wtargnąć do środka na pierwszy odgłos przemocy. Ale słowa, które padły, jakkolwiek cedzone przez zęby, brzmiały spokojnie:

— Prosiłem cię, Wasza Wysokość, żebyśmy uderzyli pierwsi. Odmówiłeś. Dałeś mi czas, a on kopał całą noc i zmienił obóz w twierdzę. Do cholery, mam osiem tysięcy kopijniczej jazdy na ciężkich koniach, które połamią nogi, próbując przesadzić szanse koczowników. Mieliśmy uderzyć nimi na Jeźdźców Burzy i zmieść ich jedną szarżą, a nie szturmować palisady i okopany tabor!

— Ciszej, generale. — Cesarz wskazał jedwabne ściany namiotu.

Laskolnyk westchnął głęboko, a właściwie nabrał powietrza i wypuścił

gwałtownie, jak bojowy rumak parszający przed bitwą. Był dość młodym mężczyzną, o ciemnych włosach i karnacji zdumiewająco jasnej jak na wschodniego barbarzyńcę. Nosił, jakby chciał podkreślić swoje pochodzenie, sumiaste wąsy, co w Imperium, gdzie mężczyźni golili się gładko, szczególnie rzucało się w oczy, a jego wargi czasem cofały się w dzikim grymasie, obnażając zęby.

Tak jak teraz.

Kregan-ber-Arlens przyglądał się temu grymasowi i z najwyższym wysiłkiem powstrzymywał od odpowiedzenia własnym. Mimo iż przespał się kilka godzin, miał wrażenie, że jest bardziej zmęczony niż wczoraj. W głowie mu szumiało, dłonie drżały, a ten zaszary barbarzyńca, któremu nieopatrznie powierzył kiedyś dowództwo imperialnej kawalerii, ośmielił się kwestionować jego rozkazy. Czy jego lojalność była na pewno niepodważalna? Szczurza Nora donosiła już, że wielu żołnierzy i oficerów Armii Konnej zaczęło w ostatnim roku ostentacyjnie zapuszczać wąsy, co mogło świadczyć o rosnącej wśród nich popularności młodego dowódcy. Zresztą ta popularność nie brała się znikąd, przez ten rok Laskolnyk osobiście poprowadził na północ od Gór Krzemienych kilka rajdów kawaleryjskich, miażdżąc każdy a'keer Se-kohlandczyków, jaki napotkał na drodze. Na ile można bezwarunkowo zaufać człowiekowi, za którym stoi kilkadziesiąt tysięcy szabel? Jak głęboko wąż ambicji zatopił kły w sercu Genno Laskolnyka?

Przymknął oczy, ledwo powstrzymując kwaśny uśmiech. Ostrzegano go przed tym, kilku zaufanych medyków mówiło, że jeśli zbyt długo będzie odmawiał sobie snu i wypije zbyt wiele pobudzających naparów, w jego umyśle obudzą się demony paranoi i podejrzliwości. Jeszcze kilkanaście dni temu pili z Laskolnykiem do upadłego, rycząc przy tym sprośne piosenki, a teraz co? Każe go ściąć w środku bitwy, bo jego ludzie zapuszczają wąsy?

Powoli wypuścił powietrze.

— A co ja mam zrobić, Genno? Co mam zrobić? Przecież czytałeś raporty.

Obaj czytali. Wojska Yawenyra atakowały miasto od rana, używając drabin, katapult, a nawet wież oblężniczych. W południe padła niemal cała pierwsza linia wałów, tylko w kilku miejscach broniły się odosobnione

grupki żołnierzy, ale po tym natarciu zwolniło. Druga linia wałów, ta, która miała „upaść” po pozorowanej obronie, upaść nie mogła, bo nie była atakowana. Za to do Doliny Saweradzkiej koczownicy pchali się jak niedźwiedzie do pasieki. Piąty Regiment błagał o wsparcie, tylko że... Kregan-ber-Arlens wciąż nie wierzył, by Yawenyr naprawdę atakował w tym miejscu na poważnie. W głównym obozie najeźdźców na pewno czaiły się najlepsze oddziały Ojca Wojny, gotowe zdobyć miasto, gdy tylko osłabnie jego obrona.

— Rozumiem. — Laskolnyk przestał szczyrzyć zęby, a jego spojrzenie złagodniało. — Dobrze rozumiem, Wasza Wysokość. Ale jeśli zaatakujemy okopanych Se-kohlandczyków, poniesiemy klęskę. Proszę uwierz mi, panie. Wam, Meeekhańczykom, wydaje się, że jesteście mistrzami w bronieniu umocnień polowych, ale na Wielkich Stepach ta sztuka też jest znana. Każde plemię wie, jak ustawić tabor, opalować obozowiska albo wykopać wał poprzedzony fosą i jak bronić się zza niego przed konnymi. Zanim zdobędziemy pierwszą linię szańców, Yawenyr wyprowadzi Jeźdźców Burzy z głównego obozu, oskrzydli nas i zmiażdży.

— Jesteś pewien?

— Ja bym tak zrobił.

Zapadło milczenie, bo żaden z nich nie wiedział co powiedzieć. Cesarz mógł zdjąć Laskolnyka z dowodzenia armią konną i wysłać rozkazy ataku bezpośrednio do dowódców pułków kawalerii. Wykonaliby je i... tu ten parszywy dzikus miał rację, najpewniej zginęli. Ale ten atak miał być jedyną szansą Imperium na odebranie inicjatywy koczownikom, bo jak na razie to oni byli stroną, która bez przerwy waliła w meekhańską tarczę. Jeśli nacisk na Dolinę Saweradzką nie ustanie, będzie trzeba w końcu posłać tam żołnierzy z miasta. A potem kolejnych i kolejnych, osłabiając obronę stolicy, aż w końcu ta się złamie. Mogli uderzyć teraz albo pozwolić, by Yawenyr rozegrał tę bitwę po swojemu. A jedyne rezerwy jakie mu w tej chwili zostały, poza pułkiem cesarskiej gwardii, to właśnie konna armia Laskolnyka.

Nie mieli wyjścia. Musieli wyprowadzić kawalerię na równinę pod miastem i uderzyć na obozowisko koczowników. I jednocześnie zaatakować wszystkimi siłami od strony miasta. A potem niech Wielka Matka ma ich

w opiece.

Otwierał właśnie usta, by wydać ostateczne rozkazy, gdy przed namiotem wybuchło zamieszanie.

— Do cesarza! Do cesarza! — darł się ktoś ochryple. — Puszczaj, sukinsynu!

Przed wejściem trzech żołnierzy gwardii trzymało ślaniającego się na nogach dziesiętnika w podartym, pokrwawionym płaszczu. Na widok władcy podoficer znieruchomiał i opadł na kolana.

— Błyskawice... i Żrebiarze — wychrypiał. — Uderzyli. Rozbili nas... Dwudziesty Piąty... nie ma go, panie.

* * *

Mężczyzna siedział przy stole od przeszło kwadransa i patrzył tępo w czystą kartkę. W mieście cesarski zegar dawno już wybił północ, on jednak nie czuł żadnej senności. Dwie duże, olejne lampy rzucały na papier rozchybotane światło, tkwiące w kałamarzu pióro sterczało krzywo, strażnicy przechadzający się po ulicy wrzeszczeli coś głucho. Pewnie, że wszystko jest w najlepszym porządku i dobrzy ludzie mogą spokojnie spać.

On uchodził za dobrego człowieka, lecz spać nie mógł. Nie tylko spokojnie. W ogóle. Dziś wypadła rocznica bitwy, a dokładnie rocznica trzeciego dnia, a raczej trzeciej nocy Bitwy o Meekhan.

Choć właściwie wszystko zaczęło się po południu dnia drugiego, gdy na pozycję Dwudziestego Piątego Pułku uderzyli Jeźdźcy Burzy. A może nieco wcześniej? Gdy po raz pierwszy Piąty Regiment musiał stawić czoła czarom Żrebiarzy? Pamiętał, jak nagle ziemia zatrzęsała się im pod stopami, a niespodziewany wichur uderzył od strony Se-kohlandczyków potężniejącymi z każdym podmuchem falami, aż wreszcie drzewa zaczęły trzeszczeć i chwiać się, a żołnierze Trzeciej Kompanii musieli kłaść się na ziemi i obejmując sękaty pnie rękoma, robili wszystko, by nie dać się porwać w powietrze. Na kilka chwil nad szczytem najwyższego wzgórza zawisł wir, podrywający w górę wszystko, co nie trzymało się ziemi, a huk wichury był taki, że człowiek nie słyszał własnego wrzasku. A wrzeszczeli wszyscy, zwłaszcza, gdy te drzewa, które wcześniej ścięli, ruszyły na nich. Tak to wyglądało, ściana ukwieconych na różowo gałęzi leżąca kilkadziesiąt

kroków przed ich pozycjami zachwiała się raz i drugi, po czym przewaliła, jakby była wiązką siana porwaną przez wiatr, i ruszyła w górę zbocza. I przez chwilę wyglądało na to, że setki ściętych drzew wpadną na nich i miażdżąc między twardymi pniami, porwą ze sobą.

A potem, wichura ucichła tak, jak się zaczęła – nagle, a oni usłyszeli łoskot tysięcy kopyt walących o ziemię.

Jeźdźcy Burzy uderzyli wprost na Dwudziesty Piąty. A jego żołnierze nie mieli drzew, które dałyby im osłonę przed wiatrem, więc wichur przewracał ich albo podrywał w niebo i ciskał o ziemię, a gdy spadła na nich sekohlandzka szarża, byli w większości rozproszeni, ogłuszeni i oszołomieni. I nadeszła rzeź. Piechurzy albo padali od razu, tratowani, kłuci włóczniami, ścinani ciosami szabel i toporów, albo – jeśli jakimś cudem udało im się ustać na nogach i zebrać w kupę – ginęli po krótkiej chwili rozpaczliwego oporu. W mniej niż dziesięć minut z prawie półtora tysiąca żołnierzy pułku, a tyłu ich zostało w drugim dniu walk, zginęło dwie trzecie, a resztki uciekały albo w głąb doliny, albo na boki. Prawie dwustu udało się dostać na ich wzgórze, a podobno jakaś setka dotarła do pozycji Trzydziestego Dziewiątego.

Wiedział, że cały atak tak właśnie wyglądał, bo przez pół dnia walczył ramię w ramię z jednym z ocalałych z masakry piechurów Dwudziestego Piątego. A ten gadał o tym bez przerwy, aż do chwili, gdy strzała trafiła go w oko. Miał na imię... nie, nie pamiętał.

Mężczyzna sięgnął wreszcie po pióro, które wydało mu się nienaturalnie ciężkie i zimne. To nic. Jak już zacznie pisać, powinno być łatwiej.

„Błyskawice przełamali środek pozycji Piątego Regimentu i zmiotli Dwudziesty Piąty Pułk w mniej niż kwadrans, ale nie uderzyli w głąb doliny, lecz rozdzielili się na prawo i lewo, odcinając drogę ucieczki nam i Trzydziestemu Dziewiątemu. Piszę „drogę ucieczki”, bo w tamtej chwili, gdy staliśmy na drżących nogach, wciąż oszołomieni wichurą, wiedząc, że obrona została złamana, rzucilibyśmy się do ucieczki jak najdalej od wroga. Walczyliśmy cały dzień, całą noc i większość dnia następnego, żując suchary i popijając zatechłą wodą, jeśli ktoś jakąś miał w manierce, bez odpoczynku i bez wsparcia, bo takie były cesarskie rozkazy, lecz gdy środek naszych linii padł, rozkazy te, w mniemaniu większości z nas straciły znaczenie. Tylko

że... nie było gdzie uciekać, bo te dzikusy otoczyły nasze wzgórza ze wszystkich stron. Tysiąc dwustu żołnierzy, licząc niedobitków z Dwudziestego Piątego, głodnych, rannych i spragnionych, zostało odciętych od reszty armii. I choć, z tego co wiem, cesarz wreszcie zareagował na atak na dolinę i pchnął w nią najpierw swój pułk gwardii, a potem kolejnych pięć ściągniętych z miasta, dla nas, dla Sześćdziesiątego Siódmego nie miało to żadnego znaczenia. Cesarski kontratak zepchnął Błyskawice nieco w tył, ale w godzinę wsparły je kolejne oddziały koczowników, a nasi aż do następnego dnia nigdy nie znaleźli się bliżej niż pięćset jardów od wzgórz”.

Osuszył kartkę, delikatnie odłożył ją stos zapisanych i zamarł nad kolejną. Jak przelać na papier to, co chodzi mu po głowie, tak, by ludzie zrozumieli. Pięćset jardów... to brzmi tak prosto i banalnie. Już nieraz spotkał się z zarzutem, że Samgeris-ols-Tersa popełnił błąd, nie próbując się wtedy przebić. Ale Sześćdziesiąty Siódmy miał zbyt wielu rannych, których musiałby zostawić, a opowieści o okrucieństwie wschodnich dzikusów budziły grozę nawet u weteranów. Poza tym, kto by się spodziewał, że będą tam musieli się bronić jeszcze jedną noc.

Całą, przeklętą przez bogów i ludzi, noc.

* * *

Pułk gwardii wycofał się na drugą linię, zastąpiony przez ściągnięty z miasta Osiemdziesiąty Pieszy. Z dwóch tysięcy czterystu elitarnych żołnierzy wróciło mniej niż tysiąc pięciuset i to zaledwie po dwóch godzinach walki. Kregan-ber-Arlens bez mrugnięcia okiem przyjął raport o stratach, gdyby nie miał w chwili ataku Jeźdźców Burzy tego pułku pod ręką, dolina najpewniej by padła. To była mała cena za zatrzymanie tych dzikusów. Ale i tak musiał w końcu zrobić to, czego nie chciał uczynić od początku bitwy – przerzucić część piechoty z miasta tutaj.

Wychodziło na to, że nadal tańczył tak, jak mu Ojciec Wojny zagrał.

Ale może... jeśli obłądny plan Laskolnyka się powiedzie... ten taniec okaże się ostatnim w życiu Yawenyra.

Cesarz stał przed namiotem i wciąż wracał do rozmowy z Laskolnykiem, obracając w myślach każde za i przeciw. Zaledwie trzy godziny temu ten

szaleniec stał obok niego i patrzył w stronę wejścia do doliny, gdzie stalowoszara fala se-kohlandzkiej jazdy przyciskała do jakiegoś stawu czy jeziora resztki rozpaczliwie broniących się żołnierzy. Przynajmniej tyle mogli się domyślić po wznoszącej się tam kurzawie i błyskach broni, coraz rzadszych i rzadszych.

Teren między Łabędzim Wzgórzem a przełamaną właśnie linią obrony był tak pagórkowaty, porośnięty sadami i stylizowanymi na „dzikie” zagajnikami, a na dodatek, poprzecinany jarami, kotlinkami, strumieniami i sztucznymi potokami, że pułk gwardii idący do szaleńczego kontrataku znikł im z oczu po zaledwie kilkuset jardach i, prawdę powiedziawszy, w tamtej chwili Kregan-ber-Arlens nie spodziewał się ujrzeć na oczy żadnego z tych żołnierzy.

Wydawało mu się wtedy, że bitwa jest przegrana.

Ale koczownicy nie rzucili do ataku wszystkich sił, zatrzymali się nagle, atakująca na prawym skrzydle jazda zawróciła konie i zaszarżowała w stronę ocienionych wiśniowymi drzewami wzgórz.

Jakiś oddział Piątego Regimentu wciąż się tam bronił.

Laskolnyk, stojący wtedy obok niego, cmoknął z uznaniem.

— Nieźle pomacali ich bełtami.

— Widzisz to?

Od wzgórz dzieliło ich z półtorej mili.

— Nie. Ale konie są ranione i zabijane. Nawet stąd to czuję. Dopóki te wzgórza nie padną, Yawenyr nie uderzy na miasto od wewnętrznej strony. Ci zasrani piechurzy kupują nam czas. — Kawalerzysta uśmiechnął się z uznaniem i nagle w jego oczach pojawił się dziwny, szalony wręcz błysk. — Powiedz mi, Wasza Wysokość, czy to tutaj arystokracja urządza sobie te wyścigi? Tę... Wielką Cesarską Gonitwę?

To była ta chwila, pierwsza od wielu miesięcy, gdy cesarzowi Meekhanu odebrało na kilka uderzeń serca mowę.

— Czy ty... myślisz... Genno, czy ty myślisz o tym, o czym ja myślę, że myślisz?

Uśmiech ukryty pod ciemnym wąsem wyglądał wyjątkowo dziko.

— Meekh to naprawdę trudny język, panie. Ale odpowiadając na pytanie, tak. Uderzmy tutaj. Jazdą. Całą. W końcu Błyskawice pokazali, że

da się tam szarżować.

Cesarz zaśmiał się krótko i zaraz umilkł, bo wyraz twarzy Laskolnyka nie zmienił się ani na jotę. Więc ten szaleniec nie żartował.

— Wiesz jak wygląda trasa tej gonitwy? Wije się między wzgórzami, przecina kilka strumieni, wspina na wzniesienia i spada z nich tak gwałtownie, że co roku kilkanaście koni łamie na niej nogi, a kilku jeźdźców skręca karki. I miejscami jest wąska zaledwie na dwadzieścia jardów. I ty chcesz puścić po niej czterdzieści tysięcy kawalerii?

Laskolnyk pokręcił głową i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Nie. Nie po niej. Interesuje mnie ostatnie pół mili. To prowadzące wprost do kopca, gdzie mieliśmy flagi sygnałowe. Tam teren jest prosty, szeroki na ponad trzysta jardów i dość długi, by się solidnie rozpędzić.

Zrozumienie spłynęło na cesarski umysł jak wiadro lodowatej wody wylane z nienacka na głowę.

— Ty widziałeś już tę trasę.

Laskolnyk wzruszył ramionami.

— W zeszłym roku. Myślę, że mógłbym wyhodować konie, które wygrywałyby tę gonitwę raz za razem. Te, które wtedy biegły, były za ciężkie i za mało wytrzymałe. Ale o tym pogadamy kiedy indziej. Po prostu nie wpuść ich głębiej niż pół mili za ten kopiec. O nic więcej nie proszę.

To był moment przełomu... Kregan-ber-Arlens mógł wyśmiać Laskolnyka, rozkazać mu szarżę na umocnienia pod miastem, tak jak zakładał to ich pierwotny plan, albo nawet odebrać mu dowództwo, ale... Widział błysk w oczach tego barbarzyńcy, taki sam jak dwa lata temu, gdy Laskolnyk zaproponował mu utworzenie Armii Konnej. On wiedział. Wiedział, że to może się udać. A poza tym, na zasrane poczucie humoru wszystkich bogów, czegoś takiego Yawenyr z pewnością się nie spodziewał.

No i, gdy ta bitwa wreszcie dobiegnie końca, będzie wreszcie mógł się wyspać.

— Ile czasu zajmie ci przerzucenie tu jazdy?

— Całej? Dzisiejszy dzień i większość nocy. Jak utrzymamy pozycje do rana, wygramy tę bitwę.

Kregan-ber-Arlens poczuł się jak człowiek, mający właśnie skoczyć do wody z urwiska.

— Dobrze... — Nie zabrzmiało to co prawda tak zdecydowanie, jak chciał, ale trudno. — Dobrze. Do świtu zatrzymamy ich pół mili za kopcem. Potem wszystko w twoich rękach.

— I niech piechota całą noc łązi przed swoimi liniami, udając, że wierci dziury w ziemi, Wasza Wysokość. Tak żeby koczownicy byli pewni, że zamieniliśmy teren w kretowisko, więc z pewnością nie pošlemy po nim konnicy. No i muszą wiedzieć, kiedy mają się nam odsunąć.

— Co?

Laskolnyk mówił czasem tak, jakby spodziewał się, że inni czytają mu w myślach.

— Będziemy mieć tylko jedną szansę, bo jeśli Yawenyr zorientuje się, co planujemy, zatka dziury, które wybił w wałach i zamknie nas w tej dolinie. A wtedy będziemy potrzebować kolejnego dnia i kolejnej nocy, żeby wycofać stąd konnicę. Gdy ruszymy do ataku, piechota musi wszędzie i w jednej chwili odsunąć się i zrobić nam miejsce, żebyśmy na nią nie wpadli i nie zatrzymali się. Bo inaczej przegramy bitwę i trzeba będzie uciekać.

— Ja nie ucieknę.

— A ja tak — Genno Laskolnyk popatrzył na niego z chłodnym wyzwaniem w oczach. — Żeby bić się dalej.

— Gońcy...

Generał kawalerii pokręcił głową.

— Nie będzie pewności, że wszyscy dotrą na czas i tam, gdzie trzeba. Więc? Masz jakiś pomysł, Wasza Wysokość?

Pomysł pojawił się nagle, chyba tylko dlatego, że Laskolnyk wspomniał coś o ucieczce. To przypomniało cesarzowi tego nadętego głupca z tytułem księcia i sprawę Wielkiej Chorągwi.

Dlaczego nie? Jest wielka, a gdy załopocze nad Wzgórzem Łabędzi, będzie widoczna z każdego miejsca w dolinie. No i jakież symbol byłby lepszy niż ona?

Od tej chwili dowódcy wszystkich oddziałów wchodzących do walki wiedzieli, że kiedy kwiat zakwitnie na krzemiennej koronie, mają zwinąć szyk, usunąć kozły i pale, oderwać się od wroga i zostawić szerokie przejścia dla atakującej kawalerii. A Nora dostała rozkaz natychmiastowego odebrania chorągwi od Subrena-kul-Marresa i dostarczenia jej do

cesarskiego namiotu.

Nareszcie przestaną się kulić za tarczą i sami uderzą. Czuł się z tym dobrze. Doskonale wręcz.

Kregan-ber-Arlens przyłapał się na tym, że uśmiecha się szeroko, choć na widok tego uśmiechu nawet jego najbliżsi słudzy przyspieszali kroku.

* * *

„Atakowali nas całe popołudnie i wieczór. Na jakąś godzinę przed zachodem słońca padło prawe wzgórze. To bliżej miasta. Nikt z tamtejszych żołnierzy nie przeżył. Potem skupili się na dwóch pozostałych. Na nas.

Utrzymaliśmy środkowe wzniesienie i to, które opierało się o zdobyte przez Se-kohlandczyków pozycje Dwudziestego Piątego tylko dlatego, że oba miały dość strome zbocza, a nasze siekiery nie próżnowały. W każdej wolnej chwili rąbaliśmy kolejne drzewa, otaczając szczyt murem z powalonych pni i splątanych gałęzi, po czym cofaliśmy się nieco wyżej.

Ale to ich nie powstrzymywało. Atakowali, przedzierając się przez powalone drzewa, ślizgając na ziemi mokrej od krwi, potykając i przewracając o trupy, ale szli niezmordowanie niczym armia mrówek”.

Ręka piszącego zadrżała, mężczyzna odłożył więc pióro na bok i splótł dłonie. Po chwili ukrył w nich twarz, wydając cichy jęk.

Pamięć... Ta przeklęta pamięć, która tak często płata ludziom figle, każąc im zapominać najważniejsze rzeczy, w jego przypadku okazała się kronikarzem nazbyt doskonałym. Gdyby mógł znaleźć ucieczkę w wódce albo winie, zapewne już dawno stałby się najżałośniejszym z pijaków. Ale wino sprawiało tylko, że gnębiące go obrazy wracały żywsze i głębsze.

Próba spisania wspomnień z bitwy to był zły pomysł. Przez to znów stał w cieniu wiśniowych drzew, a zachodzące słońce świeciło mu niemal prosto w oczy, dokładając do różu kwitnących drzew i czerwieni krwi własne odcienie szkarłatu. Znów oddychał, nie, znów łapał powietrze rozpaczliwymi haustami, tarcza ciążyła mu niczym kowadło, a rękojeść miecza zdawała się wrośnięta w pokrwawioną dłoń i miał wrażenie, że nigdy już nie uda mu się rozewrzeć palców.

I znów widział jak między drzewami na dole wszczyna się ruch i nadchodzą koczownicy. Nieco niżsi od Meekhańczyków, ciemnowłosi, ze

starannie przystrzyżonymi brodami. Później, o wiele później, dowiedział się, że przez cały czas atakowali ich nie Se-kohlandczycy Yawenyra, lecz wojownicy jednego ze zhołdowanych przez niego ludów. Sahrendey. Tak nazywały się te plemiona. I choć bili się nie o swoją chwałę, walczyli odważnie, pchani jakąś szaloną dumą i dziką, istic barbarzyńską zawziętością. Więc, mimo iż tarcza ważyła więcej niż kowadło, unosił ją jeszcze raz, jeszcze raz pochylał się lekko z mieczem czającym się, by ukąsić szybkim sztychem, lecz z duszą wypełnioną ciemną jak nadchodząca noc rozpaczą.

Nie dożyję do rana – takie przeświadczenie wypełniało mu głowę – nikt z nas nie ujrzy następnego świtu.

Sięgnął po pióro, bo pisanie pozwalało mu skupić się na czymś innym. Na przykład na tym, by każda litera mogła zachwycić mistrza kaligrafii.

„Nieustraszeni. Tak nas nazwano po bitwie. Niezłomni z Sześćdziesiątego Siódmego. Meekhańska дума odziana w żywe ciała, kąsająca wroga stałą i ostrzejszymi niż stal obelgami.

Tak, to prawda, że wtedy właśnie narodziło się bojowe zawołanie pułku, ANNKS, choć nieprawdą jest, że pułkownik Samgeris-ols-Tersa wykrzyknął je do se-kohlandzkiego posła, który zażądał, żebyśmy się poddali albo wszyscy umrzemy.

Pierwszy raz słowa te padły, gdy odparliśmy ostatni atak drugiego dnia, gdy słońce wreszcie znikło za horyzontem. Do tej pory wsłuchując się w odgłosy walk z głębi doliny, pocieszaliśmy się tym, że lada moment przebiją się do nas posiłki, lecz wraz z zachodem słońca dotarło do nas, że tak się nie stanie, że nikt nie zaryzykuje nocnej bitwy, by ocalić kilkuset poharatanych żołnierzy na straconej placówce. A wtedy młodszy dziesiątnik z Ósmej Dziesiątki, któremu zostało tylko trzech ludzi, zaklął, rzucił miecz i tarczę na ziemię i, padając na kolana, rozplakał się jak dziecko. Nie mogę mieć do niego o to żalu, bo bił się dzielnie całe dwa dni, lecz jak wielu z nas w tym momencie stracił nadzieję, a wraz z nią chęć do życia.

— Umrzemy — załkał — wszyscy dziś umrzemy.

A to wcale nie jest nic dla żołnierza, umrzeć, gdy jest przekonany, że jego śmierć nie ma żadnego sensu.

I nagle wyrósł przy nim dowódca pułku. Nie wiem, skąd tam się wziął,

nie zauważyłem, jak podchodzi. Złapał dziesiętnika za ramiona, poderwał w górę, jakby tamten był drewnianą kukielką, trzasnął nim o pień wiśni i wrzasnął:

— Wstawaj, zasrańcu! Wstawaj! Słyszysz?! Może i umrzemy! Ty umrzesz i ja umrę! Wszyscy umrzemy! Ale nie na kolanach, sukinsynu!

Ale Nie Na Kolanach Sukinsynu. ANNKS. Sześćdziesiąty Siódmy wyszywa sobie te litery na płaszczach, ale tylko weterani ze wzgórz mają prawo umieszczać je na mankietach koszul – niczym szlachecki monogram.

Litery na tej kartce stały równiutko, niczym pułk gwardii w czasie przeglądu. Mężczyzna uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu godzin. Skupienie się na sztuce kaligrafii było doskonałą metodą, by niechciane wspomnienia straciły pazur.

„Ale nie na kolanach, sukinsynu!”

Słowa te usłyszał jako pierwszy żołnierz, który bardzo się bał i bardzo nie chciał umrzeć. I nie pamiętam, który z naszych towarzyszy pierwszy zaśmiał się na cały głos, jakby usłyszał właśnie najlepszy żart. To był dziwny śmiech, dziki, szalony, wypełniony strachem tak samo, jak pełne strachu były łzy tego dziesiętnika, na którego nawrzeszczał pułkownik, ale stało się wtedy ze mną coś dziwnego.

Ja... przestałem się bać.

Umrzemy? Tak, umrzemy, ale właściwie, co z tego? Umrzemy, ale nie na kolanach. Będziemy stać, walić Se-kohlandczyków z całych sił, dźgać, siec, tłuc i gryźć, ale umrzemy, stojąc.

Nie na kolanach.

Tak to pamiętam ja, jeden z ostatnich żyjących obrońców wzgórza ols-Tersa. I być może moi towarzysze zapamiętali to inaczej, być może ich sercami targały wtedy inne emocje, lecz moje wspomnienia są właśnie takie – jedyną rzeczą, która się wtedy dla mnie liczyła było to, by nie umrzeć na kolanach”.

* * *

Gdy przyszli po Chorągiew i insygnia jej Strażnika, zastali opustoszałą, cichą jak grób rezydencję, ale nie zdziwiło ich to. Wiedzieli już, że Subrenkul-Marres zwolnił wszystkich, wypłacając każdemu z trzydziestu

dziewięciu sług, którzy przy nim pozostali, nadzwyczaj sutą odprawę – rzecz niebywała, jak na takiego skąpca. Sam książę czekał na ludzi Szczurzej Nory w sali balowej, gdzie na środku marmurowej posadzki stała wielka, długa na piętnaście, a szeroka i wysoka na trzy stopy skrzynia, przeznaczona do przechowywania Wielkiej Chorągwi. Książę leżał na skrzyni, przepasany szarfą, z ceremonialnym mieczem u boku i pudłem pieczęci przyciśniętych do piersi. Martwy. Jego twarz miała obrzydliwą, fioletową barwę i straszyla przeraźliwym grymasem, co sugerowało, że trucizna, której książę użył, nie była tak szybka i łagodna, jak zapewne się spodziewał, oraz że ktoś później ułożył jego zwłoki na skrzyni z Chorągwią.

Dowódca drużyny Szczurów wskazał na kartkę leżącą obok zwłok księcia.

— Ewwan, sprawdź, co tam jest napisane.

Jego zastępca rozłożył papier, przebiegł wzrokiem, skrzywił się.

— Zawsze na straży, zawsze bez zmayı — przeczytał na głos. — Co to za rymowanka?

— Sentencja Strażników Chorągwi. — Dowódcę drużyny przepełniły nagle złe przeczucia. — Ściągnijcie go i otwórzcie skrzynię.

Byli Szczurami i mieli dla martwych książąt taki sam szacunek, jak dla każdego innego trupa, więc po chwili ostatni Strażnik Chorągwi leżał na posadzce, a wieko skrzyni uniesiono z cichym zgrzytem.

— Ewwan. Pójdiesz do Pierwszego. Natychmiast. Opowiesz, co zastaliśmy.

— Nie wiadomo...

— To go odszukaj! Albo odszukaj cesarza i powiedz mu, że nie mamy Wielkiej Chorągwi, mimo że kazał nam ją dostarczyć. Reszta sprawdzić posiadłość, a ty, Korel, ściągnij jeszcze dwie drużyny i zaczniecie przepytować okolicznych mieszkańców. Jeśli wynieśli stąd chorągiew, ktoś musiał widzieć ludzi z olbrzymim pakunkiem. I dziesięć orgów dla tego, kto znajdzie kogoś ze służby. Kogokolwiek.

* * *

Psiarka osadziła konia ostrzej, niż zamierzała i wymachując pismem przewiązanym szkarłatną wstążką, ruszyła ku cesarskiemu namiotowi.

Strażnicy rozpoznawali ją już z daleka, bo przez pół dnia latała na Łabędzie Wzgórzu i z powrotem, więc przepuścili dziewczynę bez słowa. Wokół panował ruch, sugerujący, że w najbliższym czasie wydarzy się coś ważnego, gońcy latali tam i powrotem, nieopodal zespół budowniczych stawiał wysoki na kilkadziesiąt łokci maszt, a grupa mężczyzn i kobiet w ciemnych kapturach musiała coś czarować, bo powietrze wokół nich na zmianę skrzyło się lodowymi kryształkami i buchało parą.

Więc tak wyglądają przygotowania do decydującego starcia.

Była zmęczona, ale też z jakiegoś niewyjaśnionego powodu czuła się szczęśliwa i podniecona, jakby udzielił jej się nastrój chwili. Wszyscy szykowali się na coś dużego i najwyraźniej miała to być wspaniała rzecz.

Dobrze było być jej częścią, a to, że po raz pierwszy przenosiła pismo przewiązane czerwoną wstążką, które osobiście wręczył jej naczelnik Wywiadu Wewnętrznego, wzbudzało w niej dodatkową dumę. Czerwona wstążka znaczyła bowiem – wiadomość pierwszej wagi, oddać cesarzowi do rąk własnych.

Ta duma puchła w niej do chwili, gdy Kregan-ber-Arlens złamał pieczęć i przeczytał kartkę.

Omam nie zemdląca, widząc, jak zmienia się twarz władcy.

— Czy on powiedział ci, co tu jest napisane? — Cesarz nie podniósł na nią wzroku, więc dopiero po chwili zorientowała się, że pytanie jest skierowane do niej.

Dygnęła. Cholera, dygnęła tak, jak uczyła ją tego matka.

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Dobrze, napiszę ci... Nie, lepiej powiem i przekażesz to Getrowerowi osobiście. Trzeba zachować sekret... żadnych pism, a im mniej ludzi będzie wiedzieć, co się stało, tym lepiej...

Wymamrotał ostatnie słowa niemal niezrozumiale. Ale gdy spojrział na nią, wzrok miał zdumiewająco jasny i trzeźwy.

— Od teraz w tej sprawie jesteś jedynym gońcem między mną a Pierwszym Szczurem, dziewczyno. Pojedziesz do niego natychmiast i powiesz mu, że ma to znaleźć. Bez względu na koszty. Na godzinę przed świtem mam to mieć przed moim namiotem. Jeśli nie, on, Drugi i Trzeci Szczur dadzą głowę. Choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię jako cesarz

Meekhanu. Zapamiętasz?

Czy zapamięta? Uczono ją tego przez ostatnie miesiące.

— Tak, Wasza Wysokość.

— No to ruszaj. Natychmiast!

Wsiadając na konia, trzęsała się jak nigdy od chwili, gdy czekała w więzieniu, aż ją powieszą. Młode szczenię Ogarów ma przekazać groźbę śmierci jednemu z najpotężniejszych ludzi w Imperium. Prawie zatęskniła za swoją przytulną celą.

* * *

Naczelnik Nory siedział w gabinecie księcia i wpatrywał się tępo w zrujnowaną podłogę. Kończyły mu się pomysły.

Zdążono już przepytac niemal wszystkich okolicznych mieszkańców: od szlachetnie urodzonych aż do wędrujących po ulicach żebraków i nikt nie widział niczego podejrzanego. To znaczy nikt nie zauważył grupy ludzi wynoszących z pałacyku księcia długiego rulonu, albo wielkiej skrzyni, nie stwierdzono też, by przez ostatnie dwa dni jakikolwiek pojazd wjeżdżał lub opuszczał posiadłość.

— Piętro czyste. Zostały gołe mury — zameldował Szczur uwalany wapiennym pyłem niczym pomocnik murarza.

Arkansel Getrower machnął ręką.

Tak naprawdę niczego innego się nie spodziewał, ale musieli coś zrobić, by zdając raport cesarzowi, mieć gotową odpowiedź na każde pytanie. W tym i takie jak: „Czy dokładnie sprawdziliście posiadłość kul-Marresa?”. W tej chwili mógł na nie odpowiedzieć: „Tak, panie. Zerwaliśmy podłogi, skuliśmy tynki ze ścian i z sufitu, przetrząsnęliśmy piwnice do poziomu gruntu i strych aż pod same krokwie. Rozkuto także kominy i wyrwano futryny drzwi, a nasi czarodzieje sprawdzili, czy księżę nie wszedł w posiadanie jakiejś magicznej skrytki, choć skrytka wystarczająco duża, by zmieścić Wielką Chorągiew zapewne była dla niego zbyt droga i mogę z całą pewnością stwierdzić, że Chorągwi nie ma w posiadłości”.

W takim razie gdzie się, do cholery, podziała?

Gdyby tylko komukolwiek przyszło do głowy, że ten żałosny, nadęty, głupi sukinsyn zrobi coś takiego, Pierwszy Szczur osobiście wysłałby tutaj

z pięć drużyn Nory z poleceniem patrzenia mu na ręce bez chwili przerwy. Ilość dokumentów na temat Subrena-kul-Marresa zgromadzona w archiwach Wywiadu Wewnętrznego była dość mizerna i dominowały w nich takie określenia jak „leniwy”, „niezbyt błyskotliwy” i „nie za bardzo ambitny”. Tacy ludzie nie dokonują dramatycznych czynów, zadowolając się mrzonkami o sławie i chwale, a szczytem ich buntowniczych działań są anonimowe paszkwile rozprowadzane po stolicy. Nawet główni spiskowcy musieli kilka dni urabiać księcia, nim wreszcie podjął się swojej misji.

A jednak, na samym końcu swego niezbyt ważnego żywota księżę Wschodniej Satrii zrobił coś, o co nikt by go nie podejrzewał.

Ukradł cesarstwu Wielką Chorągiew.

Gdyby nie to, że właśnie trwała bitwa o wszystko, byłaby to najgorsza wieść dla Imperium od wielu lat.

Minęła północ, a cała, dosłownie cała Szczurza Nora w mieście jej szukała. Porzucono wszystkie pozostałe zadania, bo obietnica cesarza co do losu, jaki spotka dowództwo Wywiadu Wewnętrznego była śmiertelnie poważna. A los bitwy... Pierwszy Szczur znał szczegóły tego szalonego planu wystarczająco, by wiedzieć, że o świcie Wielka Chorągiew musi zawisnąć na szczycie Wzgórza Łabędzi. Tylko w ten sposób wszystkie oddziały piechoty zostaną w tym samym momencie powiadomione, że nadciąga szarża kawalerii. Bo jeśli piechurzy nie zdążą usunąć kozłów, którymi odgradzili się przed atakami se-kohlandzkiej jazdy i sami nie ustąpią z drogi laskolnykowej kawalerii, dojdzie do największej militarnej katastrofy w dziejach Imperium. Od wielu godzin dowódca każdego oddziału wchodzącego do doliny otrzymywał informację, że ma wypatrywać Wielkiej Chorągwi i nie było sposobu by nocą, w tym pofałdowanym, zarośniętym terenie powiadomić wszystkich o jakimś nowym sygnale.

Nora musiała znaleźć chorągiew. On musiał znaleźć chorągiew za wszelką cenę.

Na dodatek cała służba znikła z pałacu i ślad po niej zaginął. Prawie czterdzieści osób. A w tej chwili ci ludzie byli jego jedyną szansą na zdobycie jakichkolwiek informacji.

Musieli schwytać choć jednego z nich.

Kartka kpiła z niego swoją bezczelną bielą, a on już trzy razy podnosił i odkładał z powrotem pióro. Za oknem niebo zaczynało robić się jaśniejsze, choć do świtu nadal był jeszcze kawał czasu. Spisywał wspomnienia ponad pół nocy. Tyle godzin, a stosik pokrytych czarnymi literami kartek wydawał mu się żałośnie mikry. Ale jeśli nie skończy tego dzisiaj, to nie skończy nigdy, bo nigdy już nie zbierze dość sił, by wrócić na tamto wzgórze.

„Pierwszej nocy uderzyli na nas w sile co najmniej trzech tysięcy ludzi” – zaczął. „Skąd wiem, że tylu? Bo oba nasze wzgórza zostały zaatakowane równocześnie, a szeregi Se-kohlandczyków były tak gęste, że w ciemnościach wydawały się nie mieć końca. Więc było ich co najmniej trzy tysiące. Spaliśmy na pozycjach na zmianę. Połowa kompanii trzymała wartę, druga drzemała kilka kroków dalej, w pancerzach, hełmach i z bronią w ręku.

Spodziewaliśmy się ataku, a i tak nas zaskoczyli. Było ciemno, drzewa nad głowami zasłaniały niebo tak, że blask księżyca ledwo przenikał pod gałęzie, a oni nadeszli cicho, cichutko. Niewiarygodne, jak cicho potrafili iść. Założyli na siebie ciemne tuniki, więc ani kolczugi, ani płytki pancerzy nie brzęczały i nie błyskały, a hełmy, tak samo jak metalowe elementy tarcz, okucia broni, groty włóczni, a nawet twarze – poczernili. Na stopy założyli kawałki pikowanych tkanin i szli.

Byli niczym armia duchów.

Ale zabijali jak ludzie.

Uderzyli na nas gwałtownie, aż stojąca na straży połowa kompanii została zepchnięta w tył i wpadła na nas, śpiących. W jednej chwili wszyscy splątali się w wielką, zbitą, wrzeszczącą i klnącą masę. To właśnie najlepiej pamiętam – przekleństwa. Nie zapiszę ich tu, bo nie każdy lubi czytać takie rzeczy, ale prawda jest taka, że bohaterowie z wiśniowych wzgórz nie umierali, wzywając imienia Wielkiej Matki ani wysławiając Imperium, lecz obrażając cudze matki, ojców, braci i siostry. I ja też to robiłem. Wrzeszczałem, przeklinałem i dźgałem na oślep w każdy ciemny kształt przed sobą. To był dobry sposób, nasze kolczugi błyszczały a płaszcze były jasne, więc nawet w tych ciemnościach łatwo było rozróżnić swojego od wroga”.

Mężczyzna westchnął, zawahał się i kontynuował. Nie będzie pisał dziś

gładkich kłamstw.

„Nie. Niełatwo. Przemieszciliśmy się z nimi w kilka chwil i mimo że dziesiętnicy wykrzykiwali rozkazy, nie było sposobu, by stanąć w szyku. Każdy walczył sam, sam o siebie i przeciw całemu światu. Dostałem cios w głowę tak silny, aż hełm zsunął mi się na oczy i przez dłuższą chwilę dźgałem tylko na oślep tam, gdzie kątem oka zauważyłem jakiś ruch, nie mogę przysiąc, niech Nasza Pani ma mnie w opiece, nie mogę przysiąc, że żaden z tych, których trafiałem, nie zaklął po meekhańsku!”

Ostatnie trzy zdania napisane zostały bezwładnymi, chwiejnymi literami. Mężczyzna zawahał się, ale w końcu postanowił, że dość już zmarnował papieru. Mimo że było go stać na zniszczenie setki kartek dziennie, coś w jego duszy sprzeciwiało się takiemu marnotrawstwu.

„Napisać, jaka to była walka? W ciemności, ze śmiercią czająca się z każdej strony, z tarczą, która przyjmowała ciosy nadchodzące nie wiedzieć skąd, wśród wrzasków, jęków i przekleństw? Nie potrafię. Nie umiem, a gdybym nawet umiał, to nie jestem pewien, czy bym chciał. Dusze opuszczały ciała i wyruszały w drogę do Domu Snu po naszej i ich stronie i tylko to się liczy. A chaos tej rzezi? Jak mam go opisać? Napiszę o chwili, gdy potknąłem się nagle, zjechałem kilka kroków w dół wzgórza, a gdy stanąłem na nogi, poczułem tylko, że ktoś opiera się o moje plecy i osłania je. I tak staliśmy przez dłuższy czas, jak bracia, walcząc jeden za drugiego, aż wreszcie odwróciłem się, żeby powiedzieć mu, że musimy się cofnąć do swoich i zobaczyłem szpiczasty, zakończony garścią piór hełm. Nie nasz hełm.

Nie wiem, czy zorientował się, kto wbił mu klingę w szyję, ale umarł szybko, a ja przedarłem się do reszty.

Taka to była walka.

I padlibyśmy w niej, gdyby nie pomoc. Pułkownik zebrał kilkunastu ostatnich żołnierzy z kompanii szturmowej i rannych, którzy potrafili jeszcze ustać i mogli władać choć jedną ręką, i rzucił się do kontrataku. To pozwoliło nam zebrać się w dziesiątki albo ósemki, albo czwórki.”

Uśmiechnął się pod nosem, choć nie czuł ani odrobiny radości.

„Nie, wybaczcie ten głupi żart, ale nie mam dziś sił ani ochoty zastanawiać się i czytelować każde słowo. Wiem już, że tego pamiętnika nie

będzie czytał nikt, poza najbliższą rodziną, a oni znają moje poczucie humoru. Jeśli można tak nazwać kwas wylewany z duszy podstarzałego głupca.

W tym ataku zginęła czwarta część mojej kompanii, a ranny został prawie każdy. Ja sam mam bliznę na lewej nodze, choć cięcie poczułem dopiero po walce.

A był to pierwszy z ataków, trwających całą noc.

A w czasie tej nocy, najdłuższej nocy w moim życiu, koczownicy atakowali nas raz po raz, a gdy niebo zakryły chmury, walczyliśmy w ciemnościach, w których człowiek ledwo widział sztych miecza trzymanego w ręce. Oni musieli zająć te wzgórza z tego samego powodu, dla którego my na nich tkwiliśmy – bo były znakomitym punktem obronnym, a w razie kontrataku reszty naszej armii, którego spodziewali się rankiem. Więc trzy razy wysyłali do nas posłów z propozycją poddania się. Posłowie przychodzili za każdym razem z tą samą propozycją – złóżcie broń, a ocalicie życie, stawiajcie dalej opór, a umrzecie.

I nie rozumieli, czemu śmiejemy im się w twarz, odpowiadając:

Ale nie na kolanach, sukinsyny!”.

* * *

— Twój syn pracował dla księcia kul-Marresa.

Właściwie nie było to pytanie, Szczur siedzący za szerokim biurkiem nawet nie oderwał wzroku od przeglądanych papierów, ale stojąca przed nim kobieta pokiwała głową, i mnąc nerwowo rąbek fartucha, odpowiedziała:

— Tak, panie. Od trzech lat.

Śledczy Nory mruknął coś pod nosem. Był zmęczony i zły. W środku nocy wyciągnięto go z łóżka i kazano przesłuchiwać tych ludzi. Matki, ojców, braci i siostry, szwagrów i kuzynów zaginionej służby tego cholernego księżątka. Przynajmniej tych, których udało się znaleźć, bo sporo ludzi opuściło miasto przed bitwą. I teraz on oraz kilkunastu innych nieszczęśników z Nory, próbowali wydusić z nich jakiegokolwiek sensowne zeznanie. Jak na razie bezskutecznie. Większość służby mieszkała w pałacu, rzadko widując się z rodzinami, lecz gdy były Strażnik Chorągwi zwolnił

wszystkich, kucharze, kamerdynerzy, stajenni i pokojówki nie wrócili do bliskich, tylko znikli. Po prostu rozplynęli się w powietrzu.

— Kim był?

Miał to w dokumentach, bo Nora gromadziła dane służby wszystkich członków Rady Pierwszych, ale skoro już rozmawiali, niech mówi. Może coś chlapnie.

— Pomocnikiem piecowego, panie. Na początku był tylko młodszym pomocnikiem, ale pół roku temu ksiązę dał mu lepszą pracę za lepszy pieniądz.

— Sam ksiązę?

Nie musiał unosić głowy, by wiedzieć, że kobieta uśmiechnęła się nerwowo.

— No nie, gdzież tam, jasny panie. Ksiązę, heh. Mój Noar mówił, że ksiązę to na człowieka nawet nie spojrzał, chyba, że mu ktoś w drogę wszedł, to wtedy czasem jak się nie odwinął... No, ale mój chłopak był robotny i szybki, więc jak już mu dali tę lepszą robotę, to nic tylko się cieszyć.

— I cieszyłaś się?

— Cieszyłam — przyznała. — Bo ja to brzucha nie mam? I moje dzieci? Noar miał u księcia wikt, ubranie i miejsce do spania w pałacu, a jak przyniósł do domu kilka orgów albo coś z kuchni, to i my głodni nie chodziliśmy.

Szczur pokiwał głową. To by się zgadzało z resztą informacji. Kul-Marres płacił niewiele i uważał za szczyt łaski, gdy pozwalał swoim ludziom zabierać resztki ze swojego stołu do domów.

— Ksiązę nie rozdawał złotych śliwek — rzucił popularnym powiedzonkiem.

— Że co, panie?

Najwyraźniej popularność tego powiedzenia nie dotarła do dzielnic miejskiej biedoty.

— Skąpy był — wyjaśnił krótko. — Jak widzę większość służby pochodziła z Amherii i Lah.

To były najuboższe dzielnice stolicy. Dosłownie i w przenośni — rynsztok Meekhanu. Uniósł wzrok, słysząc gniewne sapnięcie. Kobieta najeżyła się

wyraźnie, spięła.

— A bo co? Co? Ludzie z Lah gorsze są? Bo uboższe? Może i moje dzieci w szmatach chodzą, za to w czystych. I może mięso jemy tylko wtedy, gdy...

— Tłusty szczur w pułapkę wpadnie — wszedł jej w słowo. — Wiem o tym, sam pochodzę z Amherii. A jeśli ktoś z tytułem księcia szuka tam służby, to tylko po to, by płacić najmniej, jak się da. Czyli jest łasy na złoto, jak zagłodzony kot na kiełbasę.

Zmierzyła go wzrokiem, tym razem ostrożnym i nieufnym. Znał to spojrzenie aż za dobrze, jego matka też często takie miała. W najuboższych dzielnicach kłamstwo, oszustwo i podstęp to podstawa przeżycia. No i w końcu była z Lah. Między Ambehią a Lah od lat trwały lokalne wojenki i konflikty, a bitwy gangów potrafiły ściągnąć na ulice tych dzielnic całe kompanie wojska.

Ostatnio jednak wzajemna wrogość przycichła. Jakby wraz ze zbliżaniem się armii barbarzyńców do stolicy lokalne niechęci zeszyły na dalszy plan. Oczywiście mogło to mieć coś wspólnego z zapowiedzią cesarza, że jeśli znów dojdzie do walk w Ambehii albo Lah, to każe zrównać te dzielnice z ziemią. A Kregan-ber-Arlens pokazał już, że słowny z niego skurczybyk.

— Która ulica? — Matka pomocnika piecowego odzyskała już rezon.

I wyraźnie zmieniła się jej postawa. Siedzący za biurkiem mężczyzna nie był już urzędnikiem wszechpotężnej Nory, lecz prawie znajomkiem. No, może z tej gorszej dzielnicy, ale zawsze swojak. Nadal jednak była nieufna.

— Dziurawe Buty — odpowiedział.

Tak naprawdę ulica nazywała się Szewska, ale nikt w Ambehii i Lah nie mówił o niej inaczej niż Dziurawe Buty. I chyba tym w ostateczności przekonał ją, że nie kłamie i naprawdę jest „swoj”.

— Moi chłopcy nigdy nie bili się z Dziurawcami — powiedziała dość zachowawczo.

— Bo moja ulica jest dość daleko od waszej.

— Racja — pokiwała głową. — Jak się zostaje...

Trochę bezradnym gestem wskazała ciasną komnatę.

Opuścił wzrok na papiery. Zdrada, gwałt, mord i zemsta, której dopełnienie zwróciło na niego uwagę kilku agentów infiltrujących nastroje

w Ambehii. Miał szczęście, że Nora akurat rekrutowała ludzi, a nie dokonywała czystki wśród miejscowych gangów. Ale to nie była opowieść, którą raczyłby każdego.

— Trzeba pilnie pracować. Ciężko i długo. I mieć kogoś, kto poleci cię Norze.

— Aha. Bo tak sobie pomyślałam, że może mój Noar mógłby znaleźć nową robotę jak już...

Urwała w pół słowa, ale było już za późno. Szczur patrzył na nią wzrokiem wygłodzonego kocura, który właśnie wywęszył kawał szynki.

— Jak już co? — zapytał miękko.

* * *

Przechwycili osiemnastu z trzydziestu dziewięciu ludzi, których Subrenkul-Marres wysłał do rodzinnego zamku. Księżę miał dość czasu, by zrealizować swój plan – każdemu ze sług wręczył dwa cesarskie orgi, obiecując, że dostaną jeszcze dwadzieścia, gdy dostarczą specjalną przesyłkę do księżęcej posiadłości we Wschodniej Satrii. Dwadzieścia cesarskich orgów było sumą, za którą większość mieszkańców Ambehii i Lah sprzedałaby całą swoją rodzinę. Za taką ilość złota można było kupić gospodarstwo z całym inwentarzem, albo przez rok pić bez umiaru najlepsze trunki.

Trzydzieści dziewięć osób: mężczyzn i kobiet opuściło więc miasto i powędrowało na południe, ściskając ciasno owinięte tkaniną paczki. Kilku, którzy połakomili się na ich zawartość, bo w końcu jakież skarb mógł być wyceniony na dwadzieścia cesarskich, ze zdumieniem odkryło, że w kawał grubej tkaniny zawinięto zwykły kamień. Nic więcej. Zapakowywali więc swoją przesyłkę i ruszali dalej, przynajmniej do chwili, gdy zgarniały ich drużyny Nory.

Ale mimo starań wywiadu, ponad połowa „posłańców” księcia wymknęła się z sieci. Nic dziwnego, skoro w obliczu przedłużającej się bitwy drogi za Góry Krzemienne znów zapełniły się uciekinierami.

A osiemnaście kawałków grubej tkaniny użytej, by zapakować kamienie, choćby nie wiadomo co robiono, nie dało się z powrotem zszyć w Wielką Chorągiew.

Brakowało ponad połowy.

* * *

Sytuacja robiła się nerwowa. Za każdym razem, gdy przybywała z kolejnym raportem, mina Kregana-ber-Arlensa robiła się chmurniejsza i bardziej grobowa. W końcu ile razy można wysłuchiwać – „Jeszcze szukamy, wkrótce będą nowe wieści.”

Po ostatniej wizycie u cesarza, zastała naczelnika Nory w prywatnej kwaterze. Siedział przy stole i pił. Na umór.

— Cesarz pyta, kiedy dostarczysz mu przesyłkę, panie. Mówi, że może opóźnić atak najwyżej o kwadrans lub dwa.

Uniósł głowę i spojrzał na nią mętным wzrokiem. O Pani, jeszcze godzinę temu był trzeźwy jak ossek. Ile i czego wypił, że tak szybko doprowadził się do tego stanu?

— Jedź i powiedz mu... — uniósł palec, pociągnął głęboko z flaszki — powiedz, że znaleźliśmy to.

Sięgnął za siebie i cisnął w Psiarkę kawałkiem jakiegoś materiału wielkości sporej chusty.

— Ale w żaden sposób... — czknął bez skrępowania — w żaden nie damy rady tego naprawić na czas, bo mamy niecałą połowę, a do ataku zostało ile? Trzy godziny? Niech go odwoła i spróbuje czegoś innego, albo niech Wielka Matka ma nas w opiece.

Wpatrywała się w trzymany w rękach ciemnoniebieski materiał. Krawędzie cięto najwyraźniej w pośpiechu i niedbale, ale gruby i gładki splot wskazywał na drogą tkaninę. Skąd pochodziła i dlaczego Nora tak rozpaczliwie jej szukała?

— Co to?

— Po co pytasz?

— Muszę wiedzieć, czy cesarz nie każe mnie skrócić o głowę, gdy przywiozę mu te wieści.

Zaśmiał się chrapliwie.

— Ty się martwisz o głowę, dziewczyno? Moja już spadła z karku, tylko jeszcze o tym nie wie. Dlatego piję, bo jutro już nie będę mógł. Chcesz wiedzieć co to? Powiem ci.

Powiedział.

— Chcesz wiedzieć dlaczego jest nam niezbędna? Powiem ci.

Powiedział.

— Chcesz wiedzieć, dlaczego ci to mówię?

— Bo jak cię słucham, to jestem tu, a nie u cesarza, więc twoja głowa wciąż może pić wino, panie.

— Oooo, wyszczekana jesteś, prawdziwe ogarze szczenię. He, he. Tak. Właśnie tak. Jak stąd wyjdiesz, następne co zobaczę, to będą gwardziści i kat.

Spojrzała na niego uważnie. Do tej pory Pierwszy był dla niej kimś w rodzaju boga. W pewnym sensie był ważniejszy niż sam cesarz, bo po Wielkiej Czystce o wszechwładzy i bezwzględności Nory zaczęły krążyć mroczne legendy. Bała się też, że kierowany strachem, wyładowuje swój gniew i złość na niej, w końcu była nikim, młodym Ogarem bez koneksji, a niektórzy zabijają posłańców przynoszących złe wieści. Teraz jednak siedział przed nią starszy, zmęczony i przestraszony mężczyzna. Na dodatek bardzo pijany.

— Nie wydaje mi się, panie.

— Co ci się wydaje, dziewczko?

— By cesarz kazał cię ściąć. Znalazłeś chorągiew, a to nie twoja wina, że ją zniszczono. Jeśli wina leży po czyjejs stronie, to po cesarza, bo nie kazał jej od razu odebrać.

Zarechotał waląc dłonią w stół.

— To idź. Idź i mu to powiedz.

Skinęła głową.

— Dobrze, panie. Powiem. Ale najpierw ty powiedz mi, jak wyglądała ta chorągiew.

* * *

Galopowała w stronę cesarskiego namiotu, a kartka, którą wręczył jej Pierwszy Szczur szeleściła jej w sakwie. W tej samej, w której miała swoje przybory. A na kartce, wyrwanej najwyraźniej z jakiejś księgi, stało:

„Wielka Chorągiew ma tło z dwóch, połączonych ukośnie barw, górna to kolor ciemnego granatu, jaki ma niebo nad naszym miastem, gdy słońce

schowa się za horyzontem, a gwiazdy jeszcze nie rozbłysły, dolna to kolor krwi, którą przelano, by stworzyć Imperium. Jej środek zdobi złota korona o pięciu ramionach, na której leży kwiat pierwiosnka o pięciu również, purpurowych płatkach w kształcie serca i ciemnoczerwonym wnętrzu. Odnosi się ona do jednej z najstarszych nazw stolicy, zwanej „kwiatem na krzemiennej koronie”.

Poniżej był prosty rysunek przedstawiający chorągiew na wietrze.

Dość kiepski, gdyby ją ktoś spytał.

Wokół cesarskiego namiotu panował zadziwiający bezruch, co chyba znaczyło, że wszystkie oddziały są już na miejscu i czekają tylko na rozkaz. Niebo na wschodzie zaczynało się lekko różowić, do świtu pozostały pewnie ze dwie godziny. Postawiono już maszt, na którym miała zawisnąć chorągiew i tam właśnie skierowano ją, gdy powiedziała, że ma wieści dla cesarza.

Stał u podstawy słupa w towarzystwie mężczyzny, którego nie знаła. Rozpoznał ją od razu, bo w końcu to ona całą noc przynosiła wieści o działaniach Szczurów.

— Jest?

Podeszła do cesarza bliżej niż kiedykolwiek, aż stojący obok wojskowy położył dłoń na rękojeści szabli, i podała mu kawałek granatowej tkaniny.

— Tak, Wasza Wysokość. Ale na nic się nie przyda.

Wyjaśniła w kilku zdaniach co zrobił obrażony książę, i ile kawałków chorągwi udało im się na razie odzyskać.

Kregan-ber-Arlens milczał i miała sporo czasu, by mu się przyjrzeć. Tej nocy zapewne również nie spał, a sina cera i worki pod oczyma podwajały jego wiek. Wyglądał jak każdy, tylko nie jak władca największego imperium na świecie.

— Jak szybko dasz radę wycofać ludzi, Genno?

Genno? Więc to jest ten słynny barbarzyńca, który dowodzi meekhańską kawalerią.

— Dwa dni.

— Dwa? Mówiłeś...

— Pomyliłem się. Droga w górach w jedną stronę bywa łatwiejsza niż z powrotem. Mój błąd.

Kregan-ber-Arlens pokiwał głową. A gest ten miał w sobie tyle bezsilności, że gdyby mężczyzna nie był cesarzem, chyba podeszłaby do niego, poklepała po ramieniu zapewniła, że wszystko skończy się dobrze.

— Nie wytrzymamy dwóch dni ataków na zewnętrzne wały ani nie wycofam piechoty z doliny, bo zmiażdżą nas z tej strony. To moja wina — wyszeptał wreszcie. — Trudno. Wyślemy gońców z informacją o nowym sygnale. Do ilu piechurów dotrą, do tylu dotrą. Jeśli Wielka Matka albo Pani Losu nam poszczęści, zawiadomimy wystarczająco wielu.

Laskolnyk skinął głową.

— Rozumiem. Jaki to będzie sygnał, panie?

— Myślałem, żeby owinać ten słup słomą i podpalić. Tak naprawdę powinniśmy od razu ustalić taki znak. Ale mnie zachciało się symbolu na miarę legendy. Wielka Chorągiew łopocząca nad zwycięską armią Imperium. Nie sądziłem... — machnął bezradnie trzymanym w rękę kawałkiem zniszczonej chorągwi. — Przecież nikt nie mógł przypuszczać, że on zniszczy...

Najwyraźniej zabrakło mu słów.

Psiarka nabrała tchu.

— Jeszcze może załopotać, panie.

Spojrzeli na nią obaj jakby dopiero teraz dotarło do nich, że jakaś dziewczyna owinięta w fioletową pelerynę gońca stoi obok. I jeśli były jakieś chwile w życiu władcy, gdy Kregan-ber-Arlens wykazał się absolutną przenikliwością, był to jeden z tych właśnie momentów, bo zamiast kazać zamknąć tę najwyraźniej szaloną dziewczkę w lochu, spojrzął na nią z nagłą uwagą i powiedział:

— Mów.

* * *

„Pierwsza Armia Konna zaszarżowała o świcie, trzeciego dnia bitwy o Meekhan, ruszając na przeciwnika, który spodziewał się wielu rzeczy, ale na pewno nie czterdziestu tysięcy konnych atakujących z gardzieli Doliny Saweradzkiej.

A gdy pułki konne zaczynały się rozpędzać do szarży, na Łabędzim Wzgórzu załopotiała Wielka Chorągiew, dająca znać piechocie, że ta ma się

usunąć im z drogi. Zszyto ją pospiesznie z wielu materiałów. Dolną, krwawoczerwoną połowę stanowiły płaszcze gwardzistów, górną, granatową wycięto ze ścian cesarskiego namiotu, żółte obrusy kryjące stoły w tym namiocie utworzyły zarys złotej korony a peleryny gońców naszyto na środku w kształcie płatków pierwiosnka.

I nikt się nie śmiał ani nie kpił, bo podobno sam cesarz trzymał w ręku igłę i zszywał do kupy te różne rzeczy, byleby tylko o świcie jego ludzie dostali właściwy sygnał.

I dostali taki, jak trzeba.”

Mężczyzna uśmiechnął się lekko. Jeśli ktoś szukałby najwspanialszego dowodu meekhańskiego pragmatyzmu, to nie znalazłby lepszego niż chorągiew pozszywana z byle czego, by wygrać bitwę.

I zaraz zmarszczył brwi, wracając na wiśniowe wzgórze. Ostatni raz dzisiaj.

„Chociaż dla nas, dla Sześćdziesiątego Siódmego nie miało to żadnego znaczenia. Całonocne ataki przetrwało nas ledwie pięciuset, a łopoczącej chorągwi, stworzonej z przypadkowych kawałków materiału, i tak nie widzieliśmy. Usłyszeliśmy za to huk, dźwięk nie do opisania (w każdym razie ja nie jestem w go stanie opisać), gdy kopyta czterdziestu tysięcy koni zaczęły walić o ziemię. A potem usłyszeliśmy, jak ciężkie chorągwie uderzyły na pozycje koczowników z takim impetem, że postawione na szczycie kopca maszyny nie zdołały wystrzelić nawet jeden raz. Słyszeliśmy żelazo walące o żelazo, wrzaski ludzi, krzyki konających i rżenie koni. Krzyki te przetoczyły się obok naszego wzgórza, wybuchły ze zdwojoną siłą u jego podstawy i zaczęły się oddalać, w miarę jak kolejne pułki jazdy wylewały się z doliny i szły do ataku na pierzchającą armię Sekohlandczyków.

A my staliśmy tam w mniej więcej pięciuset. Pięć setek z prawie dwóch i pół tysiąca i nie było wśród nas nikogo, kto nie odniósłby ran. Rankiem mieliśmy tylko jednego kapitana i dwóch poruczników, pułkownik Samgeris-ols-Tersa zginął wkrótce po północy, rozsiekany na strzępy przez barbarzyńców, którzy nie rozumieli, dlaczego nie chcemy się poddać, albo chociaż dać się zwyczajnie pozabijać.

ANNKS był odpowiedzią.

Wiśniowe wzgórza noszą teraz imię pułkownika ols-Tersa, a weterani, którzy je obronili, noszą ANNKS na mankietach koszul. I są tacy, którzy błyskają tymi czerwonymi literami z prawdziwą dumą, lecz są i tacy jak ja, którzy oddaliby prawo do ich noszenia w zamian za spokojne sny”.

Sięgnął po następną kartkę, czując, że Maiwa chyba miała rację. Opisanie tych wydarzeń, zamknięcie ich w klatkach słów tkwiących na papierze zadziało... kojąco. Dawno nie miał tyle spokoju w sercu.

„Miałem też napisać, dla mojej córki i wnucząt, jak cesarz ocalił mi życie (nie licząc tego, że w końcu wygrał bitwę, ha, ha). Ja umierałem na tym wzgórzu, gdy cesarski orszak na nie wjechał. Nie wiem po co, skoro trwała bitwa, ale jasne było, że teraz już nikt nie wypuści imperatora na pierwszą linię. Ale wjechał na nasze wzgórze, siedząc na białym ogierze, a gdy drzewa zmusiły go do zejścia z siodła, szedł sam na górę, brudząc zbroję i płaszcz krwią. Naszą i ich. I byłem pierwszym żywym jeszcze żołnierzem, jakiego cesarz napotkał. Znalazł mnie siedzącego pod drzewem, z tarczą osłaniającą moje połamane nogi. Krwawiłem z rany na głowie i niewiele widziałem, więc gdy wyczułem ruch, najpierw udałem martwego, a gdy podszedł bliżej, wrzasnąłem i próbowałem dźgnąć go mieczem. Tak jak robiłem to przez całą noc z każdym nadchodzącym z dołu.

Tak właśnie było. Ja, Mawilo Vanesares, żołnierz Sześćdziesiątego Siódmego pułku, próbowałem zadźgać cesarza Meekhanu, gdy pierwszy raz spotkaliśmy się twarzą w twarz. Wrzeszczałem przy tym: Nie na kolanach! Nie na kolanach, sukinsynu!

Mój miecz ześlizgnął się po cesarskim napierśniku, a towarzyszący mu gwardziści rzucili się na mnie, gotowi rozsiekać. Ale Kregan-ber-Arlens powstrzymał ich jednym słowem, ratując moje życie.

I to właśnie mówię, każdemu, kto mnie zapyta – cesarz ocalił mi życie, więc mu służę. Nie jest to jednak prawdą. Nie służę mu, bo nie pozwolił mnie zabić. Służę mu za to, co zrobił później.

Bo odesłał swoich gwardzistów, każąc im szukać innych żywych żołnierzy między drzewami, a potem stał przez chwilę pośrodku sadu, na ziemi, gdzie trup leżał na trupie, po czym podszedł do najbliższego z naszych poległych, ukląkł, zakrył mu twarz płaszczem i, przysięgam na życie moich dzieci i wnuków, zapłakał. I tylko ja to widziałem, więc były to

szczerze łzy, a nie takie na pokaz. Zresztą do tej pory nie wiem, czy on wie, że widziałem, jak płakał nad nami, nad każdym zabitym żołnierzem z Piątego Regimentu i nad tym, czego dokonaliśmy.

Właśnie dlatego zostałem Brązowym Klucznikiem i strzegę spokoju, i bezpieczeństwa imperatora.

Bo Kregan-ber-Arlens płakał, klęcząc na wzgórzu ols-Tersa wśród tysięcy zabitych żołnierzy.

I takie są moje wspomnienia z tej bitwy.

Mawilo Vanesares – Brązowy Klucznik”.

Ostatnia kartka powędrowała na stos, a mężczyzna uśmiechnął się lekko i rozprostował ramiona. I po raz pierwszy od lat, w rocznicę Bitwy o Meekhan poczuł senność, taką zwykłą, zwiastującą dobrą noc senność. I mimo, iż zbliżał się świt, postanowił, że wróci jeszcze do łóżka i prześpi się trochę.

Jutro mają, zgodnie z cesarskim rozkazem, zacząć przenosić kwaterę władcy z pałacu Kaliahe do Menaner.

Chyba nadchodziły ciekawe czasy.

* * *

Cesarz kazał ją odszukać wiele godzin po bitwie. Miasto oszalało, w świątyniach dzwony nie milkły nawet na chwilę, pijany tłum wypełniał ulice, a Psiarnia miała pełne ręce roboty, próbując nie dopuścić, by świętowanie przemieniło się w zamieszki, bo większość armii była poza stolicą. Kawaleria Laskolnyka ścigała rozbitego Ojca Wojny, piechota po zdobyciu obozowiska koczowników zajęta była pilnowaniem jeńców oraz liczeniem łupów.

Psiarka uważała, że groźba zamieszek jest żadna. Nauczyła się już czuć nastroje ulicy, a te zwiastowały tylko pijaństwo i zabawę. Jej służba w charakterze gońca dobiegła końca i zastanawiała się, co teraz będzie. Takie ogarze szczenięta jak ona albo szkoliły się nadal, albo wracały na ulicę.

Mimo wszystko była bardzo zaskoczona, gdy kazano jej stawić się w kwaterze cesarza.

— Jak się nazywasz? — zaczął bez specjalnych wstępów.

Dygnęła.

— Wołają na mnie Psiarka, Wasza Wysokość.

— Dlaczego?

— Bo lubię psy.

— Rozumiem. A jak masz na imię?

Zarumieniła się.

— Eusewenia. Eusewenia-kon-Pores.

— To prawdziwe nazwisko?

— A o imię nie zapytasz, panie? — palnęła, nim ugryzła się w język.

— Nie. Nikt nie używałby takiego imienia, gdyby nie było prawdziwe — uśmiechnął się i zdumiał ją, jak bardzo taki uśmiech, szczery i beztroski, odmłodził jego twarz.

— Tak. Jest prawdziwe, panie.

— Rozmawiałem o tobie z Pierwszym Szczurem. Nie był zbyt zadowolony z twojej służby jako gońca. Na dodatek, jak widzę, jesteś pyskata i arogancka oraz mówisz, co ci ślina na język przyniesie.

Te słowa uderzyły ją boleśnie, podobnie jak wizja wyrzucenia ze służby, bezdomności i zarabiania na ulicach na chleb tak, jak młoda dziewczyna bez rodziny i przyjaciół musi zarabiać.

— Och. — Cesarz wpatrywał się w nią, wciąż uśmiechając się przyjaźnie — Ja doskonale wiem, o co mu chodzi. Jest świetny w tym, co robi, a jego ambicja bycia najlepszym napędza go, niczym zapach krwi posokowca. Ale zna też zazdrość, a tobie zazdrości. Bo to ty, a nie on wpadłaś na to, że nie potrzebujemy Wielkiej Chorągwi jako takiej, lecz symbolu, którym ona jest. Więc gdybyś znikła, znikłby dowód i wspomnienie jego nieudolności, co z pewnością dobrze wpłynęłoby na pracę Pierwszego Szczura w przyszłości.

Więc o to chodziło, usuną ją, by pewien stary pijus nie czuł się zakłopotany jej widokiem. Poczwała, jak rumieńce biją jej na twarz.

— Poradzę sobie, panie.

— Nie wątpię. Ale zanim zaczniesz sobie radzić, mam propozycję.

— Ja...

— Och, przepraszam — tym razem Kregan-ber-Arlens uśmiechnął się do niej kpiąco — tak naprawdę to nie propozycja, tylko rozkaz, dziewczyno. Omnawell!

Do komnaty wszedł mężczyzna w średnim wieku, łysiejący, o nijakiej urodzie podstarzałego kupca. Dobrze znała tę twarz.

— To Blunreh Omnawell, jak zapewne wiesz, Drugi Ogar Wywiadu Zewnętrznego. Załatwimy tu jeszcze kilka rzeczy, a ty poczekasz za drzwiami i pójdziesz z nim. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli Getrower będzie miał świadomość, że ktoś tak utalentowany jak ty wspina się po drabinie kariery w Psiarni. To powinno go lepiej motywować niż usunięcie cię z widoku. Lecz nie licz na to, że Blunreh będzie miał dla ciebie jakieś względy. Mimo przyjaznego wyglądu ma serce twarde jak kamień.

Drugi Ogar spojrział na nią przez chwilę i chyba, miała taką nadzieję, w jego oczach błysnęło coś w rodzaju uznania.

Po czym bez słowa wskazał jej drzwi. Zamykając je za sobą, usłyszała jeszcze:

— A, Omnawell, pomyśl o zmienieniu jej nazwiska. To kon-Pores brzmi zbyt plebejsko. I może na początek jakiś drobny tytuł szlachecki. Wróżę tej dziewczynie interesującą karierę.

Koniec

Konkurs z meekhańskiego pogranicza

Nie potrzebujemy specjalnych powodów, aby wrócić ponownie do Meekhanu. Ale skoro już się taki pojawił, to dlaczego nie uczcić go konkursem? Z okazji premiery **najnowszego opowiadania Roberta M. Wegnera – Jeszcze może załopotać** serdecznie zapraszamy do wzięcia udziału w konkursie przygotowanym przez wydawnictwo Powergraph i fanpage „Imperium meekhańskie”.

Uczestnicy konkursu mogą wykazać się w aż trzech kategoriach:

1. **Kategoria COSPLAY**, w której zadaniem Uczestnika jest wykonanie stroju inspirowanego bohaterami „Opowieści z meekhańskiego pogranicza” Roberta M. Wegnera oraz przesłanie zdjęcia osoby przebranej w ten strój. Można przysyłać dowolną liczbę prac konkursowych.

2. **Kategoria GRAFIKA**, w której zadaniem Uczestnika jest wykonanie dowolną techniką plastyczną grafiki powiązanej z „Opowieściami z meekhańskiego pogranicza” Roberta M. Wegnera. Można przysyłać dowolną liczbę prac konkursowych.

3. **Kategoria SLOGAN**, w której zadaniem Uczestnika jest napisanie inspirowanego „Opowieściami z meekhańskiego pogranicza” Roberta M. Wegnera krótkiego sloganu, z którym mogliby identyfikować się fani serii. Można przysyłać maksymalnie trzy prace konkursowe.

Wymagania: kreatywność i samodzielność.

Prace konkursowe przysyłać można do 6 października 2019 roku w formie e-maila na adres: imperium.meekhanskie@gmail.com w temacie e-maila wpisując „Konkurs z meekhańskiego pogranicza” z podaniem odpowiedniej kategorii, tj. „COSPLAY”, „GRAFIKA” lub „SLOGAN”, bądź przy użyciu systemów przesyłania plików (np. WeTransfer lub Dropbox),

przesyłając link na adres: imperium.meechanski@gmail.com w temacie e-maila wpisując „Konkurs z meekhańskiego pogranicza” z podaniem odpowiedniej kategorii, tj. „COSPLAY”, „GRAFIKA” lub „SLOGAN”.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 12 października 2019 roku. Jury przyzna łącznie trzy Nagrody Główne, po jednej w każdej z kategorii, oraz łącznie sześć Wyróżnień, po dwa w każdej z kategorii:

1. Nagroda Główna w postaci kwoty pieniężnej 500 zł oraz w postaci pięciu dowolnie wybranych dostępnych książek wydanych nakładem wydawnictwa Powergraph.

2. Nagroda za Wyróżnienie w postaci pięciu dowolnie wybranych dostępnych książek wydanych nakładem wydawnictwa Powergraph.

Ponadto, jeśli nagrodzona praca zostanie wykorzystana przez Organizatora wypłaci autorowi **dodatkową nagrodę w kwocie 500 zł** tytułem zapłaty za przeniesienie praw autorskich.

Zatem warto!

Szczegółowe informacje dotyczące konkursu znajdują się w Regulaminie. Należy się z nim zapoznać przed przystąpieniem do konkursu. Warunkiem udziału jest przesłanie odpowiednich załączników. Serdecznie zapraszamy do masowego nadsyłania zgłoszeń.

Ku chwale Imperium!